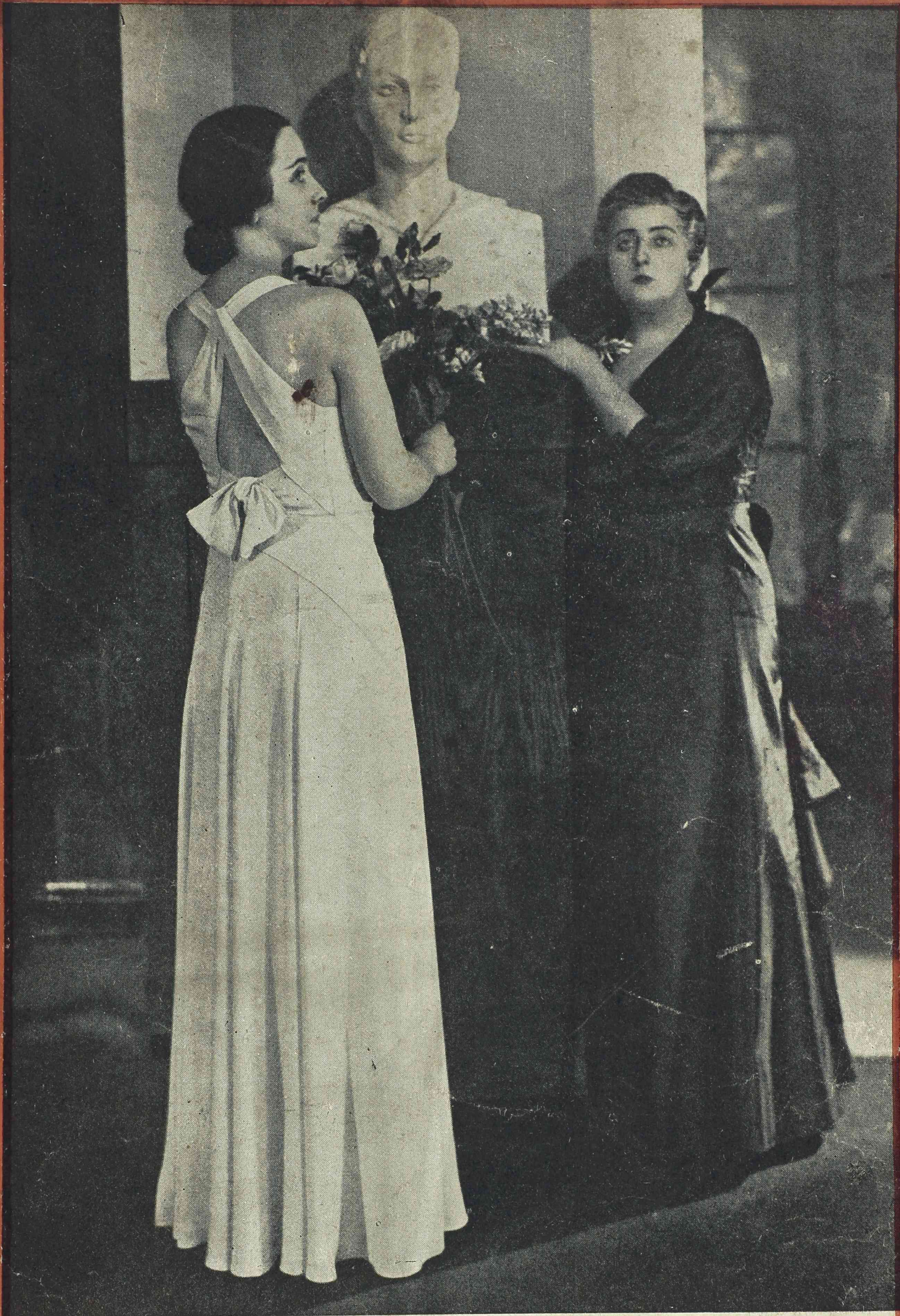


NOWA SZTUKA J. SZANIAWSKIEGO W TEATRZE NARODOWYM: „FORTEPIAN".
Pp. DULĘBA i LINDORFÓWNA Fot. J. Malarski

16 • I
1932

ŚWIAT

N • 3

DLACZEGO OBAWIAĆ SIĘ ZIMY I JEJ SKUTKÓW:

opierzchnięcia pękania skóry, zaczerwienienia?

Trochę Kremu Simon'a, użytego rano i wieczorem na skórę jeszcze wilgotną po umyciu, ochroni Was doskonale przed złośliwością zimy.

Działanie Kremu Simon'a jest wprost cudowne.

CRÈME SIMON

Paris



„Widzi pan, panie Kowalski, oto są te smaczne pastylki Panflaviny, które w biurze, w kinie, w pociągu, w teatrze, w tramwaju, krótko mówiąc wszędzie, gdzie w jednem pomieszczeniu zbiera się dużo ludzi, chronią mnie przed zakażeniem. Radzę Panu, aby Pan podczas obecnych zmiennych jesiennych dni, gdy niebezpieczeństwo zaziębienia, grypy lub anginy jest szczególnie duże, spróbował zażywać Panflavinę w pastylkach, a przyzna Pan niewątpliwie słuszność lekarzom, którzy stale zalecają Panflavinę jako najskuteczniejszy środek zapobiegawczy. Również i dzieci chętnie zażywają te znakomite pastylki. Są one, nawiasem mówiąc, do nabycia we wszystkich aptekach".

Chcesz mieć w czystości utrzymane mieszkanie kantor czy biuro korzystaj ze stałych usług firmy

WARSZAWA, ŻÓRAWIA 38 — 10. Telefon Nr. 290-32

I. Elżanowska

Kantor czyszczenia okien wystawowych, wstawiania, kitowania szyb, cyklinowania i froterowania posadzek, reparowania linoleum, odkurzania mebli, dywanów elektrycznemi odkurzaczami. Pakowanie okien na zimę

ZE ZMARSZCZKAMI, PIEGAMI,

PODBRÓDKAMI I ZŁĄ CERĄ PAŃ NIE BĘDZIE.

Panie chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, podbródków, mieć naprawdę ładną cerę, łabędzią szyję i klasyczny owal twarzy, pofatygują się od 11 do 8, pracujące panie w niedzielę od 2-ej do 7-ej

HOŻA 41—7. PADEREWSKA ZOFJA LUDWIKA

D R O G A

dla handlu i przemysłu

na wielkie zamożne tereny Województw Lubelskiego i Wołyńskiego prowadzi po przez działy ogłoszeniowe wydawnictw:

„Express Lubelski i Wołyński"

Wielki ilustrowany dziennik 20-groszowy

„Gazeta Lubelska"

Ilustrowane pismo codzienne 10-groszowe

Najwyższe nakłady na tych terenach

Egzemplarze okazowe, prospekty, kosztorysy, ogłoszeń na każde żądanie

Adres: Lublin, Kościuszki 8, tel. 360. Biuro w Warszawie: Nowy-Świat 62 m. 41 tel. 433-56



OBOWIĄZKIEM KAŻDEGO OBYWATELA JEST WZIĄĆ UDZIAŁ w AKCJI PRZECIWGRUŹLICZEJ KUP NALEPKĘ PRZECIWGRUŹLICZĄ!!!!



CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVII

ŚWIAT

NR. 3

WARSZAWA, DNIA 16-go STYCZNIA 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Oczy świata zwracają się ku Dalekiemu Wschodowi, gdzie zwycięska armja japońska, po opanowaniu niemal całej Mandżurji, zamierza — według pogłosek prasowych — sięgnąć po Pekin. Już zajęła Czin-Czau, posuwa się wzdłuż kolei Mukden–Pekin i dociera do Wielkiego Muru.

W tym momencie zaciekawi z pewnością naszych czytelników barwny opis stolicy b. Cesarstwu Chińskiego za panowania dynastji mandżurskiej, skreślony piórem znakomitego znawcy Dalekiego Wschodu, p. Jana Frylinga, b. chargé d'affaires w Tokio z ramienia Rzeczypospolitej.

PEKIN

(URYWKI Z PAMIĘTNIKA)

...Od XIII-go wieku począwszy, był Pekin stolicą Chin. Jedynie przez lat trzydzieści parę między XIV-ym a XV-ym wiekiem, za czasów dynastji Ming, stolica znajdowała się w Nankinie. Rząd republikański reskryptem z 28 czerwca 1928 r. zmienił nazwę Peking, co znaczy „Stolica północy", na „Peiping" — „Pokój północy". Stolicą rządu republikańskiego został Nankin.

*

Od strony Tientsinu biegnie pociąg przez płaską równinę, przez ogromne morze burzanów, na którem nie widać wysp uprawnych pól. Tylko cmentarze, cmentarze, cmentarze. Są to proste, porosłe trawą pagórki. Niby mnóstwo kretowisk z sercem szkieletu we wnętrzu. Kto te cmentarze zaludnia? Żadnych miast, żadnych osad. Bardzo rzadkie jedynie lepianki, uklecone z gliny, niby dzieło rąk dziecięcych. Noc zapada i miasto powinno być tuż, tuż. Nic nie zdradza jego blizkości. Pustynia i pustynia...

Jestem wzruszony. Tyle razy myślałem o tem mieście, a ono trwało tu, przeżywając swój dziwny żywot. I tak od lat tysięcy. Za chwilę mam je zobaczyć.

Nagle ni stąd ni zowąd otaczają nas światła. Pekin. Jedziemy z dworca samochodem do miasta. Przed jakimś wysokim, tonącym w mroku murem rewizja celna. Dzięki wystawionym nam przez poselstwo chińskie w Tokio dokumentom, trwa ona krótko. Znowu jakieś mury, baszty, forteca, dalekie wspomnienie Krakowa i Bramy Florjańskiej. I oto jesteśmy w dzielnicy legacji, przed Grand Hôtel de Pékin. Urok komfortu odczuwamy tem milej po trudach podróży chińskiemi kolejami. Otacza nas międzynarodowe środowisko, nie mające nic, lub niewiele wspólnego z Pekinem, który poznawać zaczynamy dopiero następnego dnia.

Pekin rozpada się wyraźnie na dwie części: miasto wewnętrzne i miasto zewnętrzne. Miasto wewnętrzne obejmuje stare miasto cesarskie z „Purpurowym pałacem", oraz dzielnicę legacji. Przez bramę Chiengyangmen przechodzi się do miasta zewnętrznego, t. zn. do połączonych miast chińskiego i tatarskiego. Na przestrzeni krótkiego dnia późnej jesieni zbyt wiele gromadzi się wrażeń. Poczucie chaosu łączy się z dziwnem uniesieniem duszy. Tylko w Rzymie i Stambule doznawałem podobnego uczucia. Tak, to jest trzecia stoli-

ca odrębnej, równie wielkiej cywilizacji.

Jedziemy do cesarskiego miasta, którego centrum zajmuje „Purpurowy pałac". Szereg gmachów o potężnych wymiarach i dziwnem swoistem pięknie. W jednym z nich cesarz przyjmował życzenia noworoczne, w innym odprawiał ceremonje religijne. Osobny gmach był miejscem bankietu noworocznego, w osobnym składali ambasadorowie państw hołdowniczych życzenia władcy Chin w dniu Nowego Roku. W specjalnym pałacu przechowywano pieczęcie cesarskie. Nad ogrodami, nad marmurowym podwórcem pałacu niebo ciemnobłękitne i słońce. Przestrzeń, mnóstwo przestrzeni, linje śmiałe, wspaniałe, ogromne. Królewskość w każdym calu.

W jednym z pałaców kolekcja porcelany. Kolory biały, niebieski, zielony i żółty wiążą się w doskonałą harmonję. Są tam wazy, niby poematy, kruże, jak słoneczne legendy, małe naczyńka, niby najkunsztowniejsze sonety. We wszystkich pałacach posterunki żołnierskie. I wiele zwiedzających żołnierzy. Ślepemi oczyma dzikusów patrzą na stworzone przez ojców cuda. Umundurowani niejednolicie, — jedni mimo silnego chłodu w płóciennych bluzach, w nędznych łapciach na nogach, inni w jakichś brudnych futrach o posklejanej w kosmyki sierści. Są to przeważnie żołnierze z mandżurskiej północnej armji Chang Hsueh-Lianga. Kiedy wychodzimy z pałacu, zbliża się do nas stojący na posterunku żołnierz i wyciąga rękę.

Dzielnica legacji. Powstała z końcem XVII w. po podpisaniu w Nerczyńsku przez Chiny traktatu z Rosją. Od tej chwili miały mocarstwa reprezentowane w Chinach prawo budowania tam swych poselstw na szczególnych prawach i utrzymywania załóg wojskowych. W r. 1900, podczas powstania bokserów, była dzielnica legacji oblężona przez motłoch chiński, a poseł niemiecki, von Ketteler, został zamordowany. Srogą satysfakcję musiały dać Chiny za te wydarzenia.



BRAMA, ŁĄCZĄCA MIASTO WEWNĘTRZNE Z ZEWNĘTRZNEM

CHARAKTERYSTYCZNY WYGLĄD ULICY PEKINU



AUTOR ARTYKUŁU W TOWARZYSTWIE CHIŃSKIEGO CICERONE

Rząd rewolucyjnych Chin wypowiedział dawne traktaty, ale dzielnica legacji trwa. Szereg pałaców, przed niemi herby na bramach warownych, sztandary na masztach, odwachy pełne świetnych żołnierzy, armaty. Wszystko to otoczone fortecznym murem, w którym bramy ze stalowych płyt. W pałacach reprezentanci poselstw, którym niewiele już zostało do roboty, gdyż poselstwa przeniosły się przeważnie do Shanghaju, lub Nankinu. Nastrój zmilitaryzowania w powietrzu. Mundury brytyjskie, francuskie, amerykańskie, japońskie i włoskie. Oficerowie z żonami chodzą pośród szarych przechodniów chińskich, nielicznych zresztą w tej dzielnicy. W górze lekko fruwają na wietrze zwycięskie ptaki obcych flag.

Temperamenty muszą znajdować ujście i — jak słyszę — żołnierze różnych narodowości toczą czasami między sobą formalne bitwy.

Przez miasto tatarskie i potężną bramę Chiengyangmen jedziemy do chińskiego miasta. Długie, przepełnione tłumem ulice, sklepy i stragany, na których płoną naftowe lampy. Zgiełk, krzyk, rojowisko ras, bezlik odmian typu Chińczyka. Błoto, w którem grzęzną koła naszych rikish. I nędza, nędza, nędza. Tłumy widm, w potwornie brudnych, zwisających w strzępach koszulach, z pod których przeglądają wychudzone szkielety. Gromady jakichś przeraźliwych kudłaczy wałęsają się bez celu. Patrzę na mego rikishę, na mego dwunożnego konia, którego wynająłem na czas mego pobytu w Pekinie. Rosły, kościsty Chińczyk z północy. Pobiega jeszcze parę lat i umrze na suchoty, chorobę wszystkich niemal rikishów. Brzmi w mych uszach jego świszczący oddech i stukot jego stóp. Cesarstwo, republika, — cóż mu? Biegać, znaleźć kogoś, kto nań skinie, wydrzeć twardemu światu tę garść ryżu dla siebie i dla swoich. Oto wszystko.

Jan Fryling

(D. n.).

DZIELNICA HANDLOWA W PEKINIE



HENRYK DUVERNOIS

OFIARA WYZYSKU

(NOWELA)

Pan Crabette stanął w obliczu żony, przybierając postawę grzecznego dziecka.

— Tak — rzekł. — Jaś sam zawiązał sobie krawacik, wyczyścił szczotką trzewiczki, surducik i kapelusik, włożył pióro do kieszeni. Ah! zapomniałem jeszcze o teczce.

Szczebiotał tak, aby ułagodzić imponującą damę, która z trudem mieściła obfite kształty we wnętrzu czerwonego szlafroka. Pani Crabette raczyła uśmiechnąć się:

— Idziesz pracować?

— Tak, kochanie.

Obejrzała go surowym wzrokiem guwernantki. Wyglądał oryginalnie. Siwe loki spadały mu na szyję, obfita broda zdobiła twarz, głowa była nieco zbyt wielką w stosunku do wątłej postaci, lecz dzięki temu owłosieniu znamionowała literata lub nawet poetę doby przedwojennej.

— Ujdzie — rzekła wreszcie. — Czy zdecydujesz się nareszcie zażądać od niego pieniędzy? W takim razie włóż rękawiczki i zaraz po przywitaniu powiedz: „Panie Madineau, pracuję za pana już dziesięć dni. Napisałem cały rozdział powieści, która wyjdzie pod pańskiem nazwiskiem. Proszę zatem o dwieście franków, które mi się od pana należą..."

— Cicho! Nie krzycz tak. Mówiłem ci przecież, że pomagam mu tylko. Poprawiam niektóre djalogi.

— Proszę dać dwieście franków. Dodasz potem: „Nie, żebym ich potrzebował. Na szczęście, żona moja, panna Corbignac z domu, ma rentę. Ale co się należy, to się należy". Słyszysz? Mów głośno i patrz mu prosto w oczy. Nigdy nie umiałeś przyzwoicie zarobić na siebie dlatego, że zawsze masz minę, jakgdybyś żebrał o kawałek chleba. Ludzie sprytni nie proszą nikogo o nic, żądają tego, co im się należy, a nawet znacznie więcej. Dość już przykre jest to, że musisz pracować dla innych, że swoim talentem im przysparzasz sławy, ale niech przynajmniej dotrzymują zobowiązań. Wszyscy cię wyzyskują. Mam wprawdzie tylko dwadzieścia tysięcy franków rocznie, ale gdybyś był mniej skromny, wszyscy myśleliby, że mamy pięćdziesiąt i nie potrzebowałbyś wysługiwać się, jak niewolnik, ludziom, którzy do pięt ci nie dorośli.

Pan Jan przełknął reprymendę i wyszedł, oddychając pełną piersią. Pragnąc dotrzeć do celu jaknajszybciej, wsiadł w kolejkę podziemną, wyłonił się z niej w odległej dzielnicy, przebył jeszcze kawał drogi piechotą i dotarł do małej kawiarenki. Czekało tam na niego trzech osobników z tego gatunku, który, zdawałoby się, rodzi się przy stoliku kawiarnianym i jest nierozłącznie z nim zrośnięty. Powitali go okrzykami:

— Ach! Jest wreszcie nasz śpioch! Panu dobrodziejowi nie chciało się wstać. Nie mógł rozstać się z żoną! Miłość ma także swoje prawa.

— Dzień dobry panom — rzekł w odpowiedzi Crabette. — Dla mnie kieliszek anyżówki.

Gdyby tak pani Crabette, z domu Corbignac, widziała go w tej chwili. Myślała przecież, że ślęczy nad pracą literacką, a on tymczasem upajał się rozkoszami bridge'a, zdala od wszystkich, którzy go znali, z trzema przygodnymi towarzyszami, mistrzami w tej grze. Cudowne chwile! Wszystko mu tu sprzyjało: anyżówka, którą sączył powoli, karty miłe w dotknięciu, pies, ocierający się o jego nogi, uśmiechnięta kasjerka, gospodarz, który z boku przyglądał się grze i czynił uwagi. Tutaj pan Jan królował, dzięki swemu artystycznemu wyglądowi, a nie dziełom, o które nikt nie pytał. Z powołania był literatem, ale niecierpiał pisaniny. Wydawało mu się, że za stary już jest na to, aby pochylać się nad kartką papieru, bazgrać po niej, przepisywać potem. Zresztą nie zajmowało go to nigdy.

W kawiarence spędzał czas codziennie od dziesiątej do dwunastej w południe i od czwartej do siódmej po południu, dzieląc go między bridge'a a domino. Renta żony nie wystarczała na życie, lecz dziury w budżecie łatał sposobem następującym: ułożył listę kolegów po piórze, u których wypraszał regularne zasiłki. Crabette był poprostu naciągaczem. Czynił to z pewnym wdziękiem i niesłychaną zręcznością, wyszukując nowe źródełko, gdy któryś z klijentów zdobył się na nieprzyzwoitość zamknięcia mu drzwi przed nosem lub wpadł na pomysł niemądry przeniesienia się na tamten świat. Znał formułki, które wzruszają, umiał trafiać na dobrą chwilę i imponować służbie pełnem wyniosłej godności zachowaniem się. W ten sposób utrzymywał w równowadze skromne swe finanse. Żonie opowiadał, nie zagłębiając się w szczegóły, że spędza czas na wypełnianiu skromnych, źle opłacanych zadań u mistrzów literatury. Za tego pisze artykuł, innemu przygotowuje materjały, trzeciemu kilka rozdziałów powieści. Zacna dama wyobrażała sobie, że wszyscy sławni pisarze mają takich ukry-



tych pomocników, dziwiła się jednak, że jej małżonek nie pisze nigdy nic na własny rachunek.

— Bądź z tego zadowoloną — tłumaczył jej. — W ten sposób mam uczciwą pracę, która nie odrywa mnie zbytnio od ciebie. Gdybym zaczął tworzyć sam, musiałbym zdradzać cię, moja najdroższa, zaznać wrażeń, jakich dostarcza hazard, alkohol, rozpusta.

W ten sposób Crabette prowadził życie właściwie potrójne: solidnego mieszczucha u siebie w domu, cygana i karciarza w kawiarni, a żebraka w przedpokojach niektórych mieszkań. Wysączył ostatnią kroplę anyżówki, podczas gdy jeden z partnerów ustalał wyniki gry. Pan Jan przegrał kolejkę wódek i franków osiemdziesiąt gotówką. Zapłacił wszystko bez skrzywienia, poczem zażądał papieru listowego i wykaligrafował podanie następujące:

„Szanowny Panie i drogi Mistrzu!

Nieznany kolega po piórze zwraca się do Ciebie. Pan jest jutrzenką, a ja zmierzchem, jak pisał do mnie w r. 1900 Emil Zola. Dowiedziałem się z prasy o pańskich zaręczynach, ośmielam się przeto skorzystać z tego szczęśliwego dnia i przedstawić Panu prośbę pisarza, który ma poważny kłopot z zapłaceniem komornego. Jak Pan, drogi Mistrzu, czekał z bijącem sercem przychylnej odpowiedzi narzeczonej, tak ja czekam jej od Pana w przedpokoju, aby nie przeszkadzać. Apeluję do pańskiego serca i pewny jestem, że się nie zawiodę. Łączę wyrazy głębokiego poważania wraz z serdecznemi życzeniami na nową drogę życia".

Dopisał nazwisko i adres, włożył list do żółtej koperty i zakleił. Poczem wsiadł znowu w kolejkę podziemną, kierując się ku alei Victora Hugo. Wygląd domu natchnął go ufnością. Strzepnął kurz z ubrania i zwrócił się zwykłym swym sposobem do dozorczyni. Nie zapytał jej: „Gdzie mieszka pan Madineau", gdyż to naraziłoby go na nieufność, a może odpowiedź, że wcale nie mieszka, lecz zawołał, jak dobry znajomy:

— Mam nadzieję, że pan Madineau jest w domu.

A usłyszawszy słowa, wypowiedziane tonem uprzejmym: „Owszem jest, nie wychodził dziś jeszcze", dodał niedbale:

— W takim razie idę na górę. Mieszka zawsze...

— Drugie piętro na prawo.

Pierwsza przeszkoda przebyta. Teraz kolej na służącego. Crabette wyprostował się, odgarnął w tył włosy i rzekł rozkazująco:

— Proszę oddać ten list. Mam dziś mało czasu i nie chcę panu przeszkadzać. Zaczekam tutaj na odpowiedź.

Nastąpiła emocjonująca chwila oczekiwania. Ile też da? Pięćdziesiąt franków?



Sto?... Może dwieście. Służący pojawił się z próżnemi rękoma.

— Pan powiedział mi tak: „Odpowiesz, że ja nie mam serca".

— To żart chyba?

— Pewnie. Człowiek nigdy nie wie, kiedy mój pan żartuje...

— Przyjdę tu jeszcze, ale bardzo mi to nie na rękę. Nie mieszkam przecież naprzeciwko.

Już układał w myśli historyjkę, przy pomocy której ułagodzi gniew żony. Nie żywił urazy do powieściopisarza, oskarżał siebie o niezręczność, należał bowiem do rzędu owych doświadczonych myśliwych, którzy, wracając z niczem, nie obwiniają zwierzyny, lecz swoje chybione strzały.



Leon Madineau przyjmował tymczasem odwiedziny narzeczonej, której towarzyszyła pobłażliwa ciotka. Panna Marja chciała zwiedzić pracownię przyszłego swego męża. Posadziła ciotkę w fotelu i zaczęła buszować wszędzie, otwierając książki, przewracając papiery, wyrażając swoje opinję o najnowszej powieści narzeczonego. Małej psotnicy wszystko wybaczano, miała bowiem dwa miljony franków posagu. Przeglądając papiery, piętrzące się na biurku, natrafiła na list Crabett'a i przeczytała go.

— Biedny człowiek! — zawołała. — Ile mu pan dał?

— Ależ...

— Nic mu pan nie dał?

— Pani wie...

— Trzeba zanieść mu coś w tej chwili. Po sto franków od każdego z nas... Jedźmy prędko, prędko! Odebrał sobie może życie! Ciocia poczeka w samochodzie. Spieszmy się... Nie mogłabym spać inaczej nocy dzisiejszej...

Przyjęła ich pani Crabette.

— To pan jesteś Leon Madineau — zagrzmiała. — Niech pan wejdzie. I córka pańska także. Bardzo się cieszę, że pana widzę. Proszę siadać. Nareszcie spotkałam jednego z was i będę mogła powiedzieć wszystko, co mi leży na sercu...

— Ależ proszę pani...

— Musi pan wysłuchać. A więc, drogi panie, rozumiem, że mój mąż pisze za pana powieść, skoro taki jest zwyczaj. Cicho! Proszę nie przerywać. Zatrzymuje go pan do drugiej popołudniu tak, jak dzisiaj, dobrze, nie mieszam się do tego, jestem tylko kobietą. Ale skoro ktoś jest zależny od cudzego milczenia, to musi mu płacić. Tak, proszę pana, płacić regularnie i bez targu. Oto mój mąż, więcej nie mam nic do powiedzenia.

Wyszła. Leon nieprzytomny z wściekłości nie mógł zrazu przemówić słowa. Crabette, bojąc się odezwać, aby go żona nie usłyszała, stukał się palcem w czoło, co miało wyjaśnić, że jest ona niespełna rozumu. Usprawiedliwiał ją przytem bolesnym uśmiechem, wznosząc oczy ku sufitowi.

— Pan jesteś szantażysta! — krzyknął powieściopisarz. — Nie ujdzie to panu na sucho. Chodźmy, panno Marysiu.

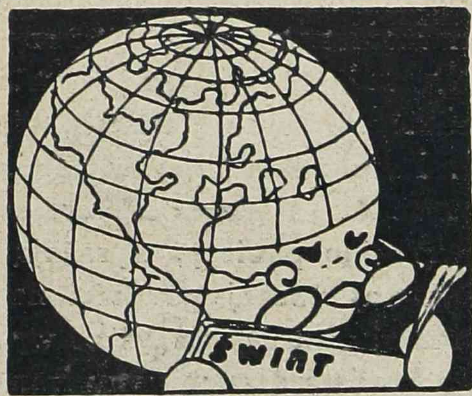
Na schodach zaś zaczął mówić:

— Przysięgam pani...

Lecz panna Marja przerwała mu, uśmiechając się anielsko:

— To nic nie szkodzi. Rozumiem przecież, że gdyby pan pisał wszystko sam, nie miałby pan czasu na podróże... Proszę się uspokoić. Nie przestałam pana przecież kochać... Jakby to wytłumaczyć?... Widzi pan, tatuś ma także inżynierów i urzędników, a to wcale mu nie przeszkadza być wielkim przemysłowcem!

Przekład
Jadwigi Gutkowskiej



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.) Rząd francuski stracił jednocześnie dwóch najwybitniejszych swych członków: umarł na tyfus minister wojny Maginot i podał się do dymisji z powodu przewlekłej choroby p. Briand. Stanowili oni jakby dwa przeciwległe bieguny gabinetu Lavala. Maginot w sprawności i gotowości bojowej armji widział gwarancję spokoju i szczęścia Trzeciej Republiki; Briand hołdował ideom pacyfistycznym i snuł plany Stanów Zjednoczonych Europy. Ten dążył do pogodzenia się z Niemcami i wierzył w możność współpracy sąsiedzkiej; tamten traktował Rzeszę nieufnie, jako przyczajonego wroga.

To też potęga zbrojna Francji Maginot'owi zawdzięcza swój rozwój i napięcie. Od czasu, gdy w 1913 r. został wiceministrem wojny w gabinecie Doumergue'a, wytężył wszystkie swe siły, aby zaopatrzeć Francję w nowoczesny oręż i dostateczne zapasy amunicji. W przeddzień wojny stał się propagatorem przedłużenia służby wojskowej i uchwalenia kredytów na powiększenie zbrojeń, jemu też przypada spora doza zasługi w osiągnięciu zwycięstwa. Później był ministrem wojny Poincaré'go, Tardieu i Lavala. Nie chciał jednak zostać oficerem. Przez cztery lata służby frontowej doszedł zaledwie do rangi sierżanta i zachował ją, jako minister.

Tę samą skromność objawiał w życiu prywatnem. Opowiadają, że przed samą chorobą był na ulicy przypadkowym świadkiem kłótni szofera z policjantem. Zgromadził się tłum, który towarzyszył zwaśnionym do komisarjatu. Maginot podążył za innymi. Przy spisywaniu protokułu posterunkowy oskarża szofera o obrazę. Ten przeczy i twierdzi, że policjant pierwszy mu naubliżał.

— Szofer mówi prawdę — odzywa się nagle Maginot, przerastający o głowę całe zgromadzenie.

— A pana kto się o to pyta? — przerywa komisarz. — Skąd się pan tu wogóle wziął i kim jesteś?

— Jestem Maginot, minister wojny — odpowiada spokojnie. — Byłem świadkiem zajścia i stwierdzam, że posterunkowy nie miał racji. Sądzę zresztą, że sam to uzna. Przyznanie się do błędu nikogo nie hańbi.

Stropiony policjant tłumaczy, że bronił „honoru munduru".

— Niema „honoru munduru"; jest tylko honor jednaki dla wszystkich ludzi.

Szofera oczywiście puszczono i minister opuścił komisarjat wśród oznak sympatji ogółu.

. . . .

(Wig.) Pouczające dla nas — w okresie rewizji konstytucji — zjawisko zachodzi w Niemczech. W czasach hiper-demokratyzmu wprowadziły one plebiscytowy wybór prezydenta republiki. Teraz mają kłopot. P. Brüning zorjentował się, że puszczanie tej sprawy na flukty powszechnego głosowania grozi państwu poważnemi niebezpieczeństwami; napięcie walki może być tak wielkie, że wybory łatwo przerodzą się w wojnę domową. Zmiarkowali to już i socjalni-demokraci; godzą się też na przedłużenie kadencji Hindenburga, który przed laty był dla nich symbolem reakcji, a dziś staje się ostatnią deską ratunku republiki; to jest miara drogi, przebytej przez Rzeszę. Ale „pyskacz" Hitler i podżegacz nacjonalistyczny Hugenberg ani myślą wyrzec się idealnie demagogicznej metody — plebiscytu.

. . . .

(N.) Francja uchodzi obecnie za najbogatsze państwo na świecie. Od r. 1927 „Bank Francuski" jest największym depozytarjuszem kapitałów z całego świata. „Francuska prosperity" budzi powszechną zazdrość. Czy jednak należy stosunki gospodarcze panujące w tym kraju uważać za racjonalne? Znany ekonomista i polityk, senator Henryk Berenger, na temat ten snuje pouczające refleksje. Pisze on:

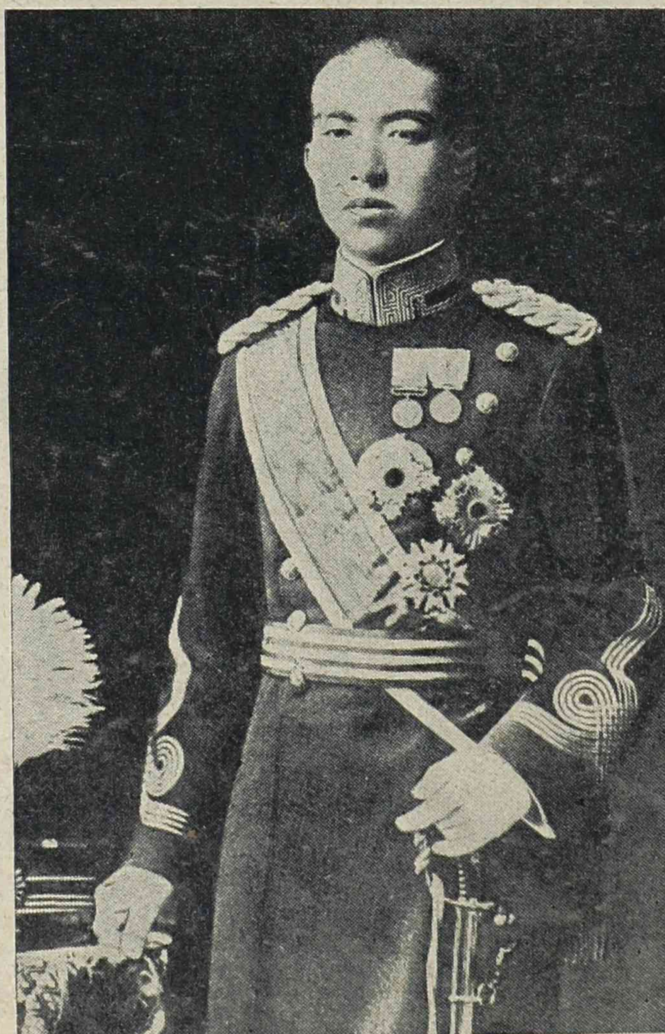
„Francja zdawałoby się siedzi na worku złota i zagradza drogę do podjęcia z powrotem pracy na całym świecie. Produkcja jednak u nas nie wzrosła, przeciwnie, zaczęła maleć. Nasz bilans handlowy wykazuje deficyt 11 miljardów franków, w naszym bilansie płatniczym nie figurują już wielkie sumy, pozostawiane przez turystów zagranicznych, wreszcie papiery procentowe uległy zniżce, której tempo przyczynia się do zmniejszenia majątku narodowego. Wszystko to razem wzięte daje podstawę do twierdzenia, że legenda o prosperity francuskiej jest tylko legendą i niczem więcej".

Konkluzja musi zdziwić przeciętnego europejczyka. Trzeba jednak ją przyjąć, gdyż pochodzi ze źródła naprawdę kompetentnego. Inna rzecz, że ta „legenda" dla wielu państw byłaby bardzo pożądana.

. . . .

(Old) Klub prasy zagranicznej w Warszawie powziął, na wzór analogicznych organizacji w innych krajach, szczęśliwą myśl urządzenia bankietu politycznego na cześć p. ministra spraw zagranicznych. W pięknych salonach Resursy Kupieckiej zgromadziło się kilkadziesiąt osób ze sfer rządowych, korpusu dyplomatycznego i prasy. Przy deserze prezes Klubu, warszawski korespondent „Vossische Zeitung", p. Birnbaum, wygłosił przemówienie poprawną polszczyzną i w pięknym języku francuskim. P. minister Zaleski wstał, aby mu odpowiedzieć. Nie zdążył jednak

ZAMACH NA CESARZA JAPONJI



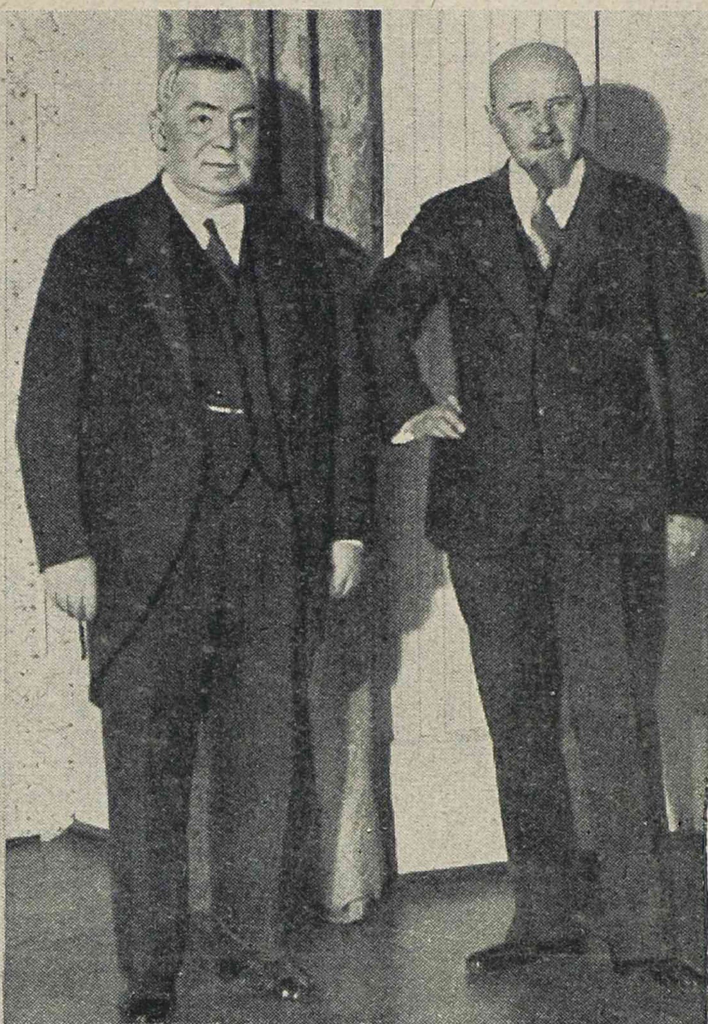
HIROHITO, CESARZ JAPONJI, NA KTÓREGO KOREAŃCZYK RIHOSZO WYKONAŁ ZAMACH

Wizyta rumuńskiego ministra spraw zagranicznych w Warszawie



KS. DYMITR GHIKA, RUMUŃSKI MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH, ROZMAWIA Z P. AUGUSTEM ZALESKIM W TOWARZYSTWIE POSŁA RUMUŃSKIEGO W WARSZAWIE, P. BILCIURESCU I POSŁA POLSKIEGO W BUKARESZCIE, HR. SZEMBEKA

Ambasador turecki u Prezesa Rady Ministrów



PIERWSZY W POLSCE ODRODZONEJ AMBASADOR TURECKI DŻEWADBEJ, PO ZŁOŻENIU LISTÓW UWIERZYTELNIAJĄCYCH P. PREZYDENTOWI RZPLITEJ, ODWIEDZIŁ PREMJ. PRYSTORA

wymówić kilku słów, gdy ktoś przerwał mu kategorycznie:

— Proszę się chwilkę wstrzymać. Momencik spokoju!...

Minister zamilkł w pół zdania, ale zamiast gniewu szeroki uśmiech zakwitł na jego ustach. Wszyscy uczestnicy bankietu też zrobili przyjemny wyraz twarzy.

Człowiekiem, który powstrzymał mowę ministra w sposób kategoryczny i nieznoszący sprzeciwu, był fotograf.

Nawet obecni na sali marszałkowie Świtalski i Raczkiewicz nie zrobiliby tego z większym autorytetem.

Taka jest dzisiaj władza sztuki uwieczniania momentów historycznych nad twórcami historji. Najsurowszy protokuł dyplomatyczny musi się do jej życzeń stosować — i to z uśmiechem i widocznem zadowoleniem.

. . . .

(sk) Nie bacząc na ciężkie czasy i t. zw. „konjunktury", czcigodne Ossolineum (Zakład Naukowy imienia Ossolińskich we Lwowie) wydało pomnikowe dzieło: „Galerję Stanisława Augusta", opracowaną przez p. Tadeusza Mańkowskiego, przy współudziale Zygmunta Batowskiego, Kazimierza Brokla i Marjana Morelowskiego.

Zaiste, w dobie powszechnego zniechęcenia i rezygnacji ten piękny wysiłek zasługuje ze wszech miar na uznanie. „Galerja Stanisława Augusta" przynosi zaszczyt i tym, co ją tak starannie i umiejętnie opracowali, i przedewszystkiem instytutowi wydawniczemu, który nie uląkł się trudów i kosztów i doprowadził do skutku dzieło tak wysokiej wartości. „Galerja Stanisława Augusta", skupiająca wszystkie wybitniejsze, dziś rozproszone po świecie, dzieła sztuki ze zbiorów ostatniego króla naszego, będzie trwałą i niezrównaną ozdobą każdego wytworniejszego salonu polskiego, każdej poważniejszej biblioteki. Rodacy i cudzoziemcy, widząc tę wspaniałą księgę, muszą dojść do przekonania, że, mimo jęków i wyrzekań, nie jest jeszcze w Polsce tak źle, jeśli takiemi wydawnictwami możemy się pochlubić.

. . . .

(G) Związek Zawodowy Literatów Polskich w Warszawie urządził wieczór dyskusyjny na temat „Widzenie rzeczywistości gospodarczej". Referentem był p. Ignacy Matuszewski, ex-minister skarbu, wybitny publicysta B. B. W. z R. Wśród ludzi pióra tak temat, jak i osoba referenta wzbudziły zainteresowanie. Zgromadziło się kilkudziesięciu beletrystów, poetów, krytyków literackich. Dysputa odbyła się w wymiarach prawie metafizycznych. P. Minister Matuszewski mówił jednak na temat bardzo pozytywny. Gdy pozostawi się na stronie dociekania hamletyczno-teoretyczne, można treść referatu ująć w trzy przesłanki: literatura polska nie towarzyszy zmianom duchowym, zachodzącym w społeczeństwie (odwieczna pieśń), upiory szlachetczyzny kołaczą się w naszem życiu ze szkodą dla nowych poczynań (motyw sympatyczny, lecz obosieczny), brak zrozumienia i wysiłku dla twórczości państwowej (przymus, jako jedyny dostrzegalny znak istnienia państwa).

Tezy te dałyby się może zgrubsza sprowadzić do pytania, czemu literatura polska nie popiera wysiłków państwowo-twórczych w sensie ideowym? Pytanie to nie zostało dostrzeżone w toku dosyć chaotycznej i gadatliwej dyskusji. Mówiono o wszystkiem, tylko nie o tem, a to właśnie było tematem „widzenia rzeczywistości gospodarczej". P. Minister Matuszewski wyraził żal nawet z tego powodu, zaznaczając, iż „łatwiej mu jest porozumieć się z pierwszym lepszym hreczkosiejem, niż z literatami".

Rozumiemy doskonale tę uwagę. Z hreczkosiejami mówi się o sprawach prostych, na terenie konkretnych interesów. Z literatami djalogi odbywały się wśród mgławic, niedomówień i wątpliwości. Unikano nawet konkretyzowania pewnych zjawisk, by nie sprowadzać dysputy na tory polityczne czy zbyt osobiste.

. . . .

(K) W „Kurjerze Warszawskim" nader słuszne uwagi wypowiedział p. Słomiński, prezydent miasta, na temat godności stolicy i jej przedstawicieli.

Zarząd miasta jest przedmiotem nieustannych ataków ze strony znacznego odłamu prasy. Opinja publiczna odnosi się do Zarządu miasta nieufnie i lekceważąco. Taki stosunek był może w pewnej mierze usprawiedliwiony za czasów rosyjskich, gdy gospodarka miejska spoczywała w rękach biurokracji zaborczej. Jest niedopuszczalną wobec własnych władz samorządowych. Krytyka organów życia publicznego jest potrzebna, nawet konieczna. Ale krytyka, wypływająca z troski o dobro powszechne, krytyka oparta na życzliwości dla uczciwych zamierzeń i rzetelnych wysiłków, nie zaś w imię demagogicznej maksymy: — *„Ote-toi que je m'y mette."*

P. prez. Słomiński zwraca przy tej sposobności uwagę na pewne szczegóły projektu nowej ustawy samorządowej. Projekt ten zmierza do znacznego obniżenia autorytetu prezydjum miasta. Prezydent stolicy stałby się urzędnikiem, zależnym od ministra spraw wewnętrznych, który miałby prawo nakładać nań nawet kary pieniężne (dobrze, że wprost — nie kozę). Stolica dużego państwa musi dbać o swoją godność i nie powinna dopuścić, aby jej oficjalni przedstawiciele pozbawieni zostali należnego im stanowiska.

. . . .

(Old) Wrogowie drzew są niewyczerpani w pomysłach. Ruszyli teraz na ogród Saski. Chcą go obcinać ze wszystkich stron. Jednych razi, że dzieci bawią się w pobliżu Grobu Nieznanego Żołnierza, mając jego ciszę. Była na to rada: należało, jak w Belgradzie, umieścić ten grób na wysokiej górze, o kilkanaście kilometrów za miastem. Panowałby tam spokój cmentarny i wieczna powaga. Skoro jednak chcieliśmy mieć symbol poświęcenia życia dla ojczyzny na oczach, wśród żywych — musimy uznać, że radość i śmiech młodości nie profanują świętego miejsca.

Tedy sfery wojskowe wysuwają inne argumenty. Krzyki przeszkadzają pracować w Sztabie Generalnym. Zawiera on tajemnice, do których dostęp winien być utrudniony. — Hałasy w wielkiem mieście są nieuniknione. Trąbki samochodów i dzwonki tramwajów byłyby jeszcze nieznośniejsze od odgłosów zabawy ogrodowej. Trudno zaś przypuszczać, aby oczy dziecinne odcyfrowywały przez szyby mapy sztabowe i czytały poufne dokumenty.

Ale nietylko od strony pałacu Saskiego chce się uciąć ogród. Większe niebezpieczeństwo grozi z przeciwległego krańca. Istnieje konkretny projekt przebicia ulicy — od gmachu Giełdy do pałacu Błękitnego, aby ulżyć ruchowi na ul. Granicznej i Żabiej. W Paryżu byłaby jedynie mowa o rozszerzeniu tych wązkich ulic przez zburzenie starych kamienic. U nas nikt nawet o tej możliwości nie pomyśli: daleko taniej(!) wyciąć kilkaset drzew, niż rozebrać smrodliwe rudery. Zdrowie nie ma wartości.

Ostatnio jeszcze z trzeciej strony zagraża ogrodowi amputacja. Centrali telegraficznej i Ministerstwu spraw zagranicznych ciasno w pałacu Brühlowskim. Wprawdzie obie te instytucje mają się za kilka lat wyprowadzić z niewygodnego gmachu, ale narazie chcą coś dobudować — na terenie przyległego Ogrodu Saskiego, jedynego ogrodu w centrum miasta. Wzamian rząd ofiaruje miastu daleko większy plac — powiedzmy za Cytadelą, albo obok fortu Legjonów. Że na tem pustkowiu miastu nic z placów nie przyjdzie, a zmniejszy się i tak niedostateczny zbiornik powietrza w przeludnionem śródmieściu — cóż to szkodzi. Kilkoletnie prowizorjum dla Urzędu Telegraficznego czy dla Ministerstwa jest rzeczą ważniejszą! I dzieje się to wszystko w czasach, gdy urbanistyka stała się już gałęzią wiedzy, a zdrowie uchodzi za największy skarb człowieka i narodu.

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Kanclerz Brüning zaprosił do siebie Hitlera, aby porozumieć się z socjal-nacjonalistami w sprawie przedłużenia kadencji prezydenckiej Hindenburga; następnie Brüning konferował z przywódcami socjalnej demokracji; oraz z wodzem nacjonalistów Hugenbergiem. Porozumienia nie osiągnięto. Elekcja odbędzie się przez plebiscyt.

Kanclerz Brüning oświadczył ambasadorowi angielskiemu w Berlinie, że Niemcy nie są w stanie płacić reparacji i domagają się całkowitego ich anulowania. Deklaracja ta wywołała olbrzymie wrażenie w Londynie i Paryżu.

Wskutek śmierci ministra wojny Maginot i choroby Brianda, rząd Lavala podał się do dymisji, nie osiągnąwszy porozumienia z radykałami.

Gmach Kongresu Indyjskiego, siedzibę partji narodowej Gandhiego, obsadzono przez policję; wszystkich przewódców partji aresztowano, a 500 jej organizacji politycznych i społecznych uznano za nielegalne. W Indjach wybuchł powszechny strajk protestacyjny.

Wojska japońskie dotarły do muru chińskiego pod Szang-Haj-Kuan i zajęły to miasto. Pekin uważany jest za zagrożony. Jednocześnie rozpoczęto marsz na północ ku Charbinowi.

Stany Zjednoczone wystosowały do Japonji notę przeciwko akcji w Mandżurji, powołując się na pakt Kelloga i traktat 9 państw, oraz domagając się utrzymania nietykalności terytorjalnej Chin i zasady „otwartych drzwi" w Mandżurji. Rząd japoński odrzucił pretensje Ameryki.

Na powracającego z rewji wojskowej cesarza japońskiego Hirohito pewien koreańczyk rzucił bombę, która nie spowodowała złych skutków. Jest to już czwarty zamach na 30-letniego cesarza.

W Mukdenie dokonano zamachu na konsula amerykańskiego z Charbinu, w Paryżu zaś na konsula włoskiego.

Sowiety prowadzą pertraktacje o zawarcie aktów nieagresji z 6 państwami: z Francją w Paryżu, z Polską i Estonją w Moskwie, z Łotwą i Rumunją w Rydze, oraz z Finlandją w Helsingforsie.

W Warszawie bawił minister spraw zagranicznych Rumunji, ks. Dymitr Ghika, który omówił z ministrem Zaleskim wszystkie problemy polityki międzynarodowej a głównie stosunki polsko-rumuńskie w dziedzinie dyplomatycznej, wojskowej i gospodarczej.

Sąd w Dyneburgu wydał ostateczny wyrok, zamykający Związek Polaków na Łotwie. Ma być założone nowe stowarzyszenie polskie.

Rada Ministrów uchwaliła projekty ustaw o ustroju samorządów i o ustroju szkolnictwa.

Proces więźniów brzeskich zakończył się wyrokiem skazującym pp.: Witosa na 1½ roku więzienia, Bagińskiego — na 2, Libermana, Barlickiego i Kiernika na 2½, Dubois, Mastka, Pragiera, Putka i Ciołkosza — na 3 lata; Sawickiego — uniewinniono. Wszyscy skazani apelują.

Przemysłowcy górnośląscy wystąpili do organizacji robotniczych z propozycją obniżki płac o 25%, zniesienia urlopów i zawieszenia świadczeń socjalnych.

Bilans handlowy Polski za rok 1931 wykazał 412 mil. złotych salda dodatniego.


Fot. amat. Ludwik Czerwiński
z górki na pazurki
ROZKOSZE ZIMOWE ANDRZEJKA



Bal za dawnych lat: elegancja, wdzięk, towarzystwo zgrane i wytworne

JESZCZE JEDEN MAZUR DZISIAJ!...

Życie publiczne w Warszawie przed wojną płynęło wąskim nurtem. Taiło się w pracy podziemnej, już to o charakterze narodowo-oświatowym, już to socjalnym, na zewnątrz poczęło się wydobywać dopiero od 1905 roku. Przedtem, przez kilka dziesiątków lat, od czasu stłumienia powstania 63 roku, mowę polską publicznie słyszeć można było tylko w kościele i w teatrze.

Tem większego znaczenia nabierało życie towarzyskie. Wielkie kawiarnie w stylu dzisiejszym nie istniały. Cukiernie były dość pilnie „inwigilowane" przez rosyjskich szpiclów. Polskość czuła się bezpieczną tylko w zamkniętych ścianach domowego zacisza, zwłaszcza że Rosjanin nie był tam dopuszczany.

Salony i przyjęcia odgrywały w życiu stolicy dużą rolę. Miały one w ciągu roku dwa kulminacyjne okresy: karnawał zimowy i karnawał „zielony" w czasie wyścigów wiosennych, a dawniej jeszcze — jarmarków „wełnianych". Dancing i bale reprezentacyjne były nieznane. Odbywały się wprawdzie bale publiczne: były one jednak tylko inną formą zabawy zamkniętego i dobranego towarzystwa. Na balach ratuszowych rej wodziła arystokracja i wielka finansjera, w Resursie Kupieckiej — bogatsze sfery przemysłowe i mieszczańskie, w Resursie Obywatelskiej — inteligencja i mniejsze kupiectwo, w Tow. Wioślarskiem i u Cyklistów — szersze warstwy miejskie.

Ewenementem dnia były bale w Ratuszu, zawsze na cele dobroczynne. Listy gospodyń ogłaszały tryumfalnie wszystkie dzienniki, roiło się w nich od książąt i hrabiów, niczem jak dziś — w ogłoszeniach komorników. Przetykały je nazwiska wielkich bankierów, przeważnie pochodzenia semickiego, których córki podtrzymywały swemi posagami zrujnowanych paniczów. Aczkolwiek nie posiadaliśmy jeszcze wówczas wyszkolonych mistrzów Protokułu, owe bale ratuszowe posiadały swój ceremonjał; goście dzielili się na parę klas. Nie do pomyślenia było, aby dama „mieszczańskiego rodu" mogła usiąść w cercle'u obwieszonych staremi klejnotami pań z arystokracji. Bale te zresztą były nudne, jak flaki z olejem. Osoby, szanujące swoje pozycje towarzyskie, musiały się na nich pokazać. Uciekano z nich jednak czemprędzej, a młodsze hrabiny i niehrabiny chętnie kończyły wieczór w gabinecie pierwszorzędnej restauracji, przy dźwiękach kapeli i wystrzałach korków od szampana. Na ogólnej sali restauracyjnej pokazywały się rzadziej; „panny z towarzystwa" — nigdy. Trzeba było wielkiej katastrofy wojennej, przewrotu w obyczajach i w umysłowości, aby możliwe stało się to, co teraz widzimy codziennie: w Adrji czy w Bristolu tańczą księżniczki, hrabianki, panny z „najlepszych domów" obok subjektów sklepowych i fryzjerów bez zajęcia...

W Resursie Kupieckiej gromadziła się na balach członkowskich zapasiona cokolwiek burżuazja, bez wyższych ambicji towarzyskich, lecz za to lubiąca dobrze zjeść, dobrze wypić i zagrać drogo w karty.

Lecz te wszystkie zabawy publiczne były tylko kroplą w morzu bujnego życia towarzyskiego stolicy, które objawiało się w ciągłych „wieczorkach" i „herbatkach tańcujących". Świetny obraz obyczajów ówczesnych nakreślił w tym względzie Alfred Konar w swoich „Siostrach Malinowskich".

W karnawale każda rodzina, posiadająca córki na wydaniu, urządzała kilka takich przyjęć. Rujnowało się całe mieszkanie: łóżka wyjeżdżały na strych, wszystkie pokoje przerabiano na sale balowe i jadalnie, ściągano młodzież taneczną przez znajomych, na Ś-to Krzyskiej istniały liczne sklepy, w których wynajmowano frakowe ubrania. Karnawał był wielkim jarmarkiem małżeńskim. Panny musiały czekać na narzeczonego od jednego karnawału do drugiego. Każdy bal budził nadzieje, usposabiał do złudnych marzeń. Nazbyt też często zostawiał gorzkie rozczarowanie...

*

Pociski, które w kilkanaście lat potem przeorały zbożem szumiące łany i zburzyły zasobne miasta, zmieniły też naszą obyczajowość. Po okresie komunikatów wojennych, rekwizycji, ogonków, zdobywania po za kartkowego cukru i chleba, powstało pragnienie zabawy, przedewszystkiem zabawy.

DZISIAJ...



W dancingu: przygodny murzyn, wynajęty na godziny, zgrabna fordanserka, jako ponęta modnego lokalu

Lecz ton jej zaczęła nadawać nie arystokracja, nie burżuazja, czy poczciwe mieszczaństwo, lub wreszcie młodzież, lecz posiadacze gotówki: sklepikarz, spekulant, dorobkiewicz, słowem „nuworisz". Zrujnowane życie towarzyskie nie odzyskało już dawnego pędu i rozmachu, zaczęło przenosić się na arenę kawiarni i restauracji.

Zjawił się jazz-band. Taniec przestał być ewenementem karnawału; stał się funkcją codzienną, jak jedzenie, picie, sen. Dziś tańczy się wszędzie i ciągle: po restauracjach, kawiarniach, kabaretach; niezliczona ilość stowarzyszeń społecznych i filantropijnych urządza „czarne kawy" i imitacje dawnych „herbatek", których celem jest nietyle faktyczna pomoc bliźniemu, ile potrzeba wytańczenia się. Społeczeństwo nasze przypomina koszmarne zakończenie „Wesela" Wyspiańskiego, kręcąc się w somnambulicznym, kataleptycznym jakimś tańcu, w takt monotonnej, bezmyślnej melodji.

Wielkie bale w karnawale odbywają się jednakże, ze zwyczaju raczej i pro forma, aniżeli z tanecznej potrzeby. Są to przeważnie bale reprezentacyjne, dostępne tylko dla sfer bogatszych, na które legitymacją wstępu jest nietyle pozycja towarzyska, ile możność ubrania się i wydania. Przed kilku laty do najwspanialszych, choć nie najmniej nudnych, należał „Bal Prasy" w pałacu Rady Ministrów.

Powojenna publiczność jest jednak zbyt zdeprawowana, aby uczęszczała na bale dla samego balu, dla przyjemności tańczenia. Więc dla ściągnięcia gości na balach urządza się dziś elekcje „królowej karnawału", pokazy toalet, wybory najpiękniejszej pani, lub najwytworniejszego pana. Szuka się ustawicznych wabików i przynęt, aby tylko osiągnąć powodzenie. Najszersze, ultra demokratyczne masy bawią się na tradycyjnych redutach i maskaradach, będących ośrodkiem nietyle prawdziwej zabawy, ile miejscem spotkania wielkomiejskiej zbieraniny, na których rolę szampana odgrywa lemonjada, a luksusowe bombonierki zastępują kolorowe baloniki i słodkie mandarynki.

Ogół bawi się wciąż na dancingach. Jest to bowiem, jeśli chodzi o taniec, zabawa najtańsza. Odpada przedewszystkiem troska o kosztowne toalety. Wieczorowa suknia, ciemny garnitur marynarkowy, w ostateczności smoking — i po kłopocie. Rękawiczki, wachlarze, karneciki, cały ten dawny sprzęt balowy też stał się przeżytkiem. Czyste ręce wystarczą. Nie jest się przytem narażonym na poważne wydatki, jakie pociągał za sobą każdy bal. O ile dancing popołudniowy — wystarczy kawa, herbatka, kilka ciastek, na ochłodzenie syfon wody sodowej. Wieczorem skromna kolacja, przyczem rachunek „po niemiecku", inaczej mówiąc: każdy sobie rzepkę skrobie...

Jeden jeszcze bardzo ważny czynnik wpłynął na rozpowszechnienie się tańca i przeniesienie go do publicznych lokali. Jego zasadnicza zmiana. Zniknęły wirujące walce, barwne korowody kontredansa i żywiołowy mazur — natomiast zapanowały wszechwładnie tańce, oparte na dreptaniu i przesuwaniu nóg, a więc wymagające stosunkowo mało miejsca i pozwalające tłoczyć się nieraz kilkudziesięciu parom na niewielkiej przestrzeni.

Z chwilą zamarcia życia towarzyskiego, przy równoczesnej manji tańczenia, dał się zauważyć pewien demokratyzm w samym ceremonjale tanecznym. Niema dawnej rycerskości i wersalskości w zapraszaniu tancerki; dawną taneczną młodzież zastępują płatni mistrze od rumby czy tanga. Panny nie potrzebują czekać od karnawału do karnawału na narzeczonego — bo zaręczają się w biurze, na dancingu, byle gdzie.

To też i piękny gest tancerza, urok samego tańca, czy atmosfery balowej stał się legendą poetycką, czy też zblakłem wspomnieniem naszych babek i matek — czemś, co jak wiele, wiele rzeczy minęło i nie wróci.

Teraz nikt już nie zaproponuje słowami poety: — „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...", lecz kiedy zcichnie zakatarzone beczenie saksofonów, jęk piły i dudlenie banja, pary przerywają kataleptyczne kręcenie się w kółko, kilkadziesiąt dłoni rytmicznie zaczyna bić brawo i zrywają się wołania:

— Mało!... mało!... mało!...

I coraz rzadziej spotyka się tę szczerą swobodę w zabawie, jaka była cechą wszystkich „herbatek" i „wieczorków", gdzie w taniec wkładano całe serce i duszę, gdzie nie chodziło o pokazanie nowej toalety, czy trudnej figury choreograficznej, lecz tańczono, aż w strzępy darły się nie zawsze froterowane posadzki, a szyby w oknach dźwięczały radośnie, w takt ognistego mazura:

Dziś... dziś... dziś!...

j. s. w.

Tradycje świąteczne we Włoszech

W żadnym kraju Europy nie rozwinął się regjonalizm w tym stopniu, co na Półwyspie apenińskim. Ten sam regjonalizm, który był zaporą do zjednoczenia się Włoch, z małych samodzielnych państewek stał się kolebką bogatych tradycji ludowych, przejawiających się w zwyczajach i obyczajach świątecznych, jakoteż w barwnym i malowniczym stroju, odmiennym dla każdego niemal miasteczka i wioski. Dziś, gdy Włochy konsolidują się, ów zwalczany niegdyś regjonalizm, cieszący się specjalną opieką Mussoliniego, stał się w poezji, muzyce, malarstwie i w stroju wprost niewyczerpanem źródłem tężyzny narodowej i piękna

Zwyczaje i obyczaje, związane z Bożem Narodzeniem, Nowym Rokiem i z bardzo uroczyście we Włoszech obchodzonem świętem Trzech Króli, są tak liczne i tak odmienne w różnych stronach, a nawet w każdej poszczególnej wiosce, iż trzebamy chyba rozprawy całej, aby o nich należycie poinformować.

Zbliżanie się Bożego Narodzenia bywa w Abruzzach zapowiadane bardzo uroczyście. Z gór, śniegiem pokrytych, zstępują po dwuch lub trzech sławni dudziarze „Pifferari", w towarzystwie młodego terminatora, i w strojach charakterystycznych, wędrując od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, oznajmiają, że nadchodzi „Natale". Przystając na ulicach, przyśpiewują bądź to pobożne pieśni, bądź też sentymentalne kołysanki, tak zwane „Ninna - Nanna", a wtórują im otaczające kołem kobiety i dzieci. Młody towarzysz dudziarzy zbiera pilnie datki, wrzucane do obszernego kapelusza w formie stożka, przystrojonego pstremi wstążkami

W Rzymie w noc, poprzedzającą wigilję, odbywa się na ogromnym targu rybnym wielka licytacja ryb „Cottio". Wśród niebywałego hałasu, targów i nawoływań nabywają przekupnie przy świetle pochodni, odbijających nastrojowo od świateł elektrycznych w godzinach między pierwszą a czwartą w nocy ryby, sprowadzane tu w ogromnych ilościach. Dochodzi nierzadko do zaciętych sprzeczek, a nawet do krwawych bójek. Ryby, nabyte przez przekupniów, osiągają w ciągu następnego dnia wysokie ceny, które maleją w miarę zbliżania się wieczoru wigilijnego, tradycyjnego „Cenone". Uczta wigilijna, zakrapiana licznemi gatunkami wina — zazwyczaj dziewięcioma — przeciąga aż do pójścia na Pasterkę, celem uczestniczenia przy odsłonięciu żłobka. Pielgrzymki najliczniejsze podążają do Bazyliki Santa Maria Maggiore, gdzie — wedle tradycji — znajduje się żłobek, przywieziony w siódmym wieku z Betleem.

W Abruzzach podaje się w wie-



Nowy Rok na Sycylji



Dzban wody sylwestrowej: „acqua nova"

czór wigilijny dziewięć potraw i tyleż gatunków win. Niektóre z przysmaków świątecznych przechowuje się aż do Nowego Roku, ponieważ do końca szesnastego wieku oba te święta obchodzono razem.

We Włoszech zachowało się bardzo dużo zwyczajów, związanych z Nowym Rokiem, jakoteż z wieczorem Sylwestrowym i ze świętem Trzech Króli. W Noc Sylwestrową zrywa się na Sycylji nieopisana wrzawa; wszyscy dorośli i mali biją w moździeże, bębny, garnki i rondle. Jest to tak zwana „batterella". Nawoływaniom, krzykom i śpiewom niema końca, grupy „śpiewaków" przystają przed domami możniejszych i śpiewają, raczej wyrykują piosenki, żądając datków pieniężnych lub też darów w naturze: fig, pomarańczy, migdałów i ciasta.

Ciekawym zabytkiem z dawnych czasów jest zachowany w całej Italji południowej symbol nowej wody: „acqua nova". Przed wschodem słońca udają się kobiety w noc Sylwestrową do źródła lub studni, słynącej w danej okolicy z „cudów". Jedne myją się na miejscu zimną wodą źródlaną, inne przynoszą ją w dzbankach lub amforach, rozdając krewnym i przyjaciołom, którzy z różnych przyczyn nie mogli odbyć dalekiej i uciążliwej drogi. W niektórych okolicach myje się tą wodą na miednicy jednocześnie kilka osób, które w ten sposób umacniają swą przyjaźń. Narzeczeni i zakochani wrzucają w tę wodę sylwestrową gałązkę oliwną, szukając horoskopów dla siebie.



Śpiewacy neapolitańscy



Karnawał w Salerno

Młode zaś dziewczęta, spragnione zamęźcia, umywszy się wylewają wodę na ulicę, patrząc skwapliwie, kto pierwszy przejdzie. A może to właśnie będzie przyszły wybrany!

Nowy Rok jest uznany ogólnie za święto radości! Wszyscy starają się we Włoszech dzień ten spędzić jak najprzyjemniej, uważając, że według pierwszego dnia w roku układają się dalsze. W Rzymie rozbrzmiewają liczne orkiestry, wygrywając wesołe marsze i skoczne tańce przed domami wybitnych osobistości. Dawnemi czasy łączono z Nowym Rokiem przyszłe urodzaje i uważano za konieczne wykonanie tego dnia choćby najdrobniejszej cząsteczki pracy, która ma być dokonana w polu w ciągu roku.

Na Sycylji uważa się za szczęśliwy horoskop, jeśli w Nowy Rok jest pogodne i jasne niebo. W Abruzzach, gdzie zwyczaje ludowe zachowały się może w najczystszej formie, panuje zwyczaj, że kto w Nowy Rok wcześniej wstanie, budzi śpiochów, uderzając ich bucikiem. Ma ich to podobno oduczyć wylegiwania się w łóżku.

W innych znów okolicach ważne jest, kogo się spotka pierwszego, wyszedłszy w Nowy Rok na ulicę. Człowiek stary uważany bywa za zły omen. Spotkanie księdza może oznaczać radość lub smutek, zależnie od tego, czy spotkała go panna, mężatka lub wdowa.

Włoskie uroczystości świąteczne dochodzą do zenitu w święto Trzech Króli, „Epifania", będące zakończeniem okresu świątecznego.

Fr. Sz.

ZIMA Z PROFILU

Człowiek ze wszystkiego zrobi sobie zabawkę, nawet z tak groźnej rzeczy, jak zima. W tem właśnie siła ludzka. Człowiek jest taki wirtuoz, że sam mróz potrafi przeistoczyć w upał. A przecież chłód jest jednym z największych wrogów człowieka. Chłód i głód. Obydwie te potęgi wymienia ludzkość na pierwszem miejscu okropnej listy swoich doczesnych przerażeń. Ale i z głodem umie ludzkość igrać w zadziwiający sposób. Trudną sprawą się wydaje przebywanie w zimnie, atoli sprawą już wręcz niemożliwą zdaje się być suszenie po czterdzieści dni z rzędu. Tymczasem yogowie indyjscy i anachoreci chrześcijańscy odżywianie swych śmiertelnych organizmów doprowadzili do takiego minimum, że w porównaniu z niem *menu* dzisiejszego urzędnika państwowego wygląda na rozpustną ucztę Sardanapala. Któryś z czcigodnych słupników podobno schodził ze swojego słupa raz na dni dwanaście, wyskubywał wpuszczy dwanaście pożywnych korzonków i wracał z niemi na swój piętrowy słup, zabezpieczony gastronomicznie na następny tuzin dni i nocy. Pewnie, że Brillat-Savarin takiej kuchni słupnikowskiej nigdyby nie uznał za pożywienie, odpowiadające wysokiej godności ludzkiej, fakt jest przecież faktem, że socjalne zagadnienie głodu można pomyślnie rozwiązać przez kategoryczne upokorzenie wygórowanych pretensji żołądka. Niejeden lekarz nas poucza, że wogóle zadużo jadamy. Jadajmy mniej. Narazie skasujmy podwieczorek, potem kolację, w dwa miesiące później śniadanie, a w pół roku po śniadaniu przestańmy jadać obiad. Ktoś z moich znajomych utrzymuje, że dorosłemu mężczyźnie dla zachowania jego pełnych sił fizycznych i moralnych najzupełniej wystarcza jedno słowicze jajko na dobę, i że on sam, ten mój znajomy, mówiąc nawiasem, uczony biolog, odżywiałby się wyłącznie jajkami słowika, gdyby nie to, że o słowicze jajka bardzo trudno. Więc mu poradziłem jadanie jajek kurzych. Na co mi odpowiedział:

— Jeżeli mam jadać ogromne jajko kurze, to już wolę jeść normalny obiad, złożony z trzech przyzwoitych potraw i gorącej czarnej kawy.

Po tej logicznej odpowiedzi zrozumiałem, dlaczego i w dziedzinach innych pierwszych potrzeb ludzkość tak znakomicie przesadza. Więc przedewszystkiem zima. Dlaczego w zimie ludzie chodzą w botach, sobolach, popielicach, karakułach? Ponieważ nie chodzą nadzy. Adamowi w Raju między listopadem i połową marca wystarczał do rozgrzewki pospolity liść figowy. Gdy jednak w następstwie ten i ów adamita zaczął używać girlandy z liści aloesu, rzeczywisty kult samowystarczalności cielesnej wobec mrozu faktem tym został podcięty u korzenia i nic już nie stało na przeszkodzie używaniu skunksów, elek amerykańskich i niebieskich lisów. Albo zupełnie nago, albo w futrze! Taka jest psychologja człowiecza. Albo jedno malutkie żółteczko słowicze, albo wędliny, sery, pieczenie, zupy, kompoty, likiery, lody! Ta niczem nie usprawiedliwiona krańcowość natury ludzkiej wytwarza właśnie konflikty społeczne, których niewątpliwie dałoby się uniknąć, gdyby wszyscy ludzie doszli do tego szczytnego



rozumienia świata i siebie, co anachoreci i yogowie. Gdybyśmy wszyscy byli słupnikami, nie byłoby dziś ani hitlerowców, ani bolszewików, ani mussolinistów i panowałaby na całym globie łagodność obyczajów, zgoda powszechna i cisza. Każdy na swoim słupie ssałby sobie swój korzonek, a ziemia płynęłaby w wieczność, nic zgoła nie wiedząc ani o socjalizmie, ani o imperjalizmie, ani o konferencjach rozbrojeniowych, i tylko od czasu do czasu zacnie eksplodując to na Martynice, to pod Neapolem, to zalewając lawą i zasypując popiołem przez dziurkę Skotopaksi, czy otworek Krakatoa gęsto zamieszkałe i żyzne obszary. Bo cóż, zaiste, może dowcipna doktryna Marxa, jeżeli jest bezsilna wobec trzęsienia ziemi? O ileż więcej zrobił ów prostaczy człowiek, który w największy mróz chodził kompletnie nagi i tak odpowiedział zdumionemu podróżnikowi:

— A ty przecież chodzisz na mróz z nagą twarzą. Otóż moje całe ciało jest tak nawykłe do mrozu, jak twoja twarz. Teraz się przestań dziwić.

Znalazł się człeczyna w kropce.

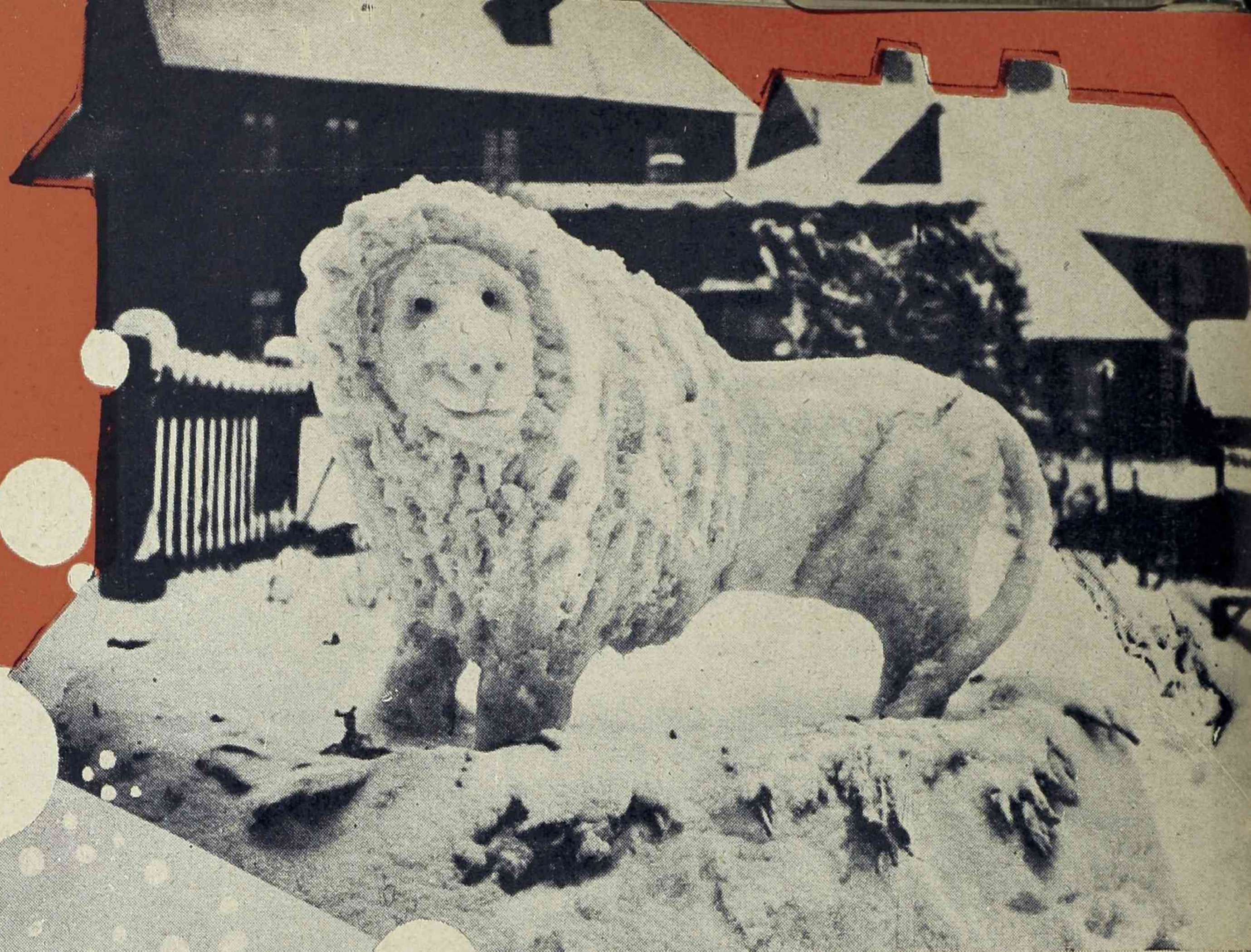
Tedy można być nagim i nie odczuwać zimna. Podchmielony organista z Ponikły, zamarzający w polu, nie jest żadną racją przeciw gorącej w mróz nagości, bo przecież był ubrany. Umarł pan organista, zresztą, mile, w zdawaniu mu się różnych przyjemnych złudzeń, co jego szanowny dziejopis, pan Sienkiewicz z Oblęgorka niezrównanem swojem piórem nieodparcie stwierdził, a z czego wynika najpierw, że mróz, jako napastnik, jest zbójca czarowny, po drugie zaś, że zima odmienne, ale faktyczne ma powaby zarówno dla nawykłego do gęsiej skórki golasa, jak i dla ubierających się we włoś dzikiego zwierza i w puch kosztownego ptaka wykwintnych mieszkańców najwytworniejszych stolic. Narty, łyżwy, saneczki (w dzień), bale, maskarady, reduty (w nocy). Karnawał! Taniec naprawdę smakuje tylko w zimie. Jak kawior. Jak faworki. Jak koniak. I zdobywanie skłonności niewieściej, ba! głębokich uczuć kobiecych, czasami nawet szałów; zastawianie mądrych, subtelnych sieci zmysłowego pragnienia; prowadzenie gry miłosnej, tyle niebezpiecznej, hazardownej, wyczerpującej; to, co się nazywa flirtem, zalotami, uwodzicielstwem, swój naturalny czas ma właśnie w zimie. Sezon miłości to zima, krajobraz miłości to śnieg, lód, rozkosznie ogrzany salon, ciepły buduar... Cokolwiekby mówił Słowacki *w Szwajcarji*, na żadnem tle piękna kobieta nie wygląda tak pociągająco, niewoląco, magnetycznie, nigdy tak bardzo nie jest istotą z bajki, czy z innego świata, jak na tle zimy. Idzie w iskrach mrozu, a jest ciepła, owinięta jest w puszyste futra, a kiedy je rozchyli, jest półnaga. Najuboższą dziewczynę zima ubiera bogato w gronostaje śniegu, oczom najbardziej smutnej kobiety nadaje blask drogich kamieni, i nawet niewiastom, żegnającym się z młodością i to po raz drugi, użycza zapachu świeżości, gdy wchodzą do pokopu wycałowane zimnem przeczystem powietrzem.

Zima jest piękna. Ma w sobie coś z kryształu i coś z fantastycznego snu. Ale w niepokalanej jej białości zaklęta jest namiętność. Ogień jest w mrozie i zaciekłość w zadymce śnieżnej. Boi się zimy każde stworzenie i samozwańczy król stworzenia, człowiek. Że przecież strachy swoje lubi człowiek przezwyciężać, więc nie przesypia zimy, jak niedźwiedź brunatny, owszem, oswaja sobie tę straszliwą drapieżnicę, w jej srebrną grzywę zanurza zuchwałe palce i każe bestji tańczyć.

Wacław Grubiński



Zabawy zimowe









BIAŁY KARNAWAŁ W SZWAJCARJI

1. Lew ze śniegu przed hotelem w Davos. 2. Tor saneczkowy w Montreux. 3. Zabawa w ślepą babkę na torze w Chamonix. 4. Alumni seminarjum we Fryburgu podczas przerwy między wykładami bawią się w śnieżki

Fot. New York „Times"

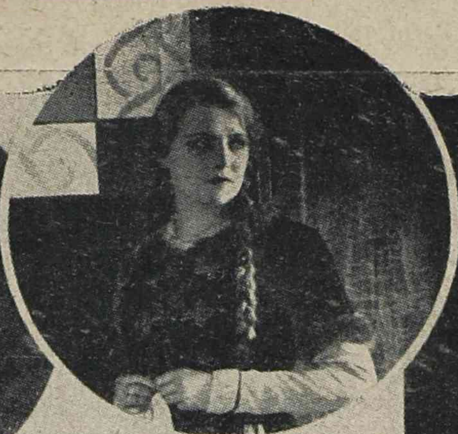
„MIÓD KASZTELAŃSKI"

Komedja

J. Kraszewskiego

Fot. J. Malarski




W tworzącym się w Teatrach Miejskich repertuarze popularno-szkolnym poczesne miejsce zajmie „Miód Kasztelański", stara lecz pełna tężyzny komedja Kraszewskiego. Wystawiono ją nader starannie, a publiczność, wypełniająca widownię na tych przedstawieniach, bawi się znakomicie. W głównych rolach (od lewej do prawej) pp.: Skarzyński, Myszkiewicz, Socha, Chrzanowska i Jarszewska

Teatry Warszawskie

Nowa sztuka J. Szaniawskiego w Teatrze Narodowym.

Nowy utwór autora „Adwokata i róż"? Powszechne zainteresowanie! Sensacja w najlepszym stylu. Cała inteligencja stołeczna poruszona. Z czem wystąpi Szaniawski? Co powie?

Pierwsze przedstawienie „Fortepianu" połączyło się z uroczystym aktem 50-letniego jubileuszu aktorskiego jednego z najwybitniejszych artystów współczesnych, Józefa Chmielińskiego. Teatr Narodowy wypełniony po brzegi. Atmosfera, przepojona gorącą życzliwością dla sztuki, dla jej autora, dla jubilata. Przedstawienie doskonałe, wzorowe.

— Wracamy do czasów dawnych Rozmaitości! — powtarzano w międzyaktach.

A sztuka? Szaniawski tym razem sięgnął do najważniejszych, bardzo aktualnych zagadnień, nurtujących nasze życie kulturalne, do tych zmagań i walk, które toczą się między obrońcami czystej Sztuki a jej fałszerzami. Szaniawski obrazuje te konflikty z delikatnym uśmiechem poety, który widzi szpetne zło i żywi doń odrazę, który jednak wierzy w zwycięstwo Piękna i Dobra. Ta lekko i jakby smętnie uśmiechnięta zaduma, to szczególna właściwość Szaniawskiego. Zbliża go w pewnej mierze do Rittnera, Szaniawski jednak posiada zgoła własną, odrębną indywidualność! Rittner uśmiechał się również smutnie, ale jego uśmiech miał podkład pobłażliwej ironji, — tak pobłażliwej, że aż beznadziejnej. W Szaniawskim tkwi wiara w człowieka, wiara, że w najbardziej nawet przyziemnym zjadaczu chleba tają się lepsze instynkty, nieuświadomione tęsknoty.

„Fortepian" zmusza do myślenia, przykuwa uwagę, wzrusza. Drugi akt zwłaszcza, dzięki koncertowej grze pań Dulęby i Lindorfówny, Brydzińskiego i Węgrzyna, wywołał istny entuzjazm. Z wielkim szacunkiem i zapałem oklaskiwano jubilata, który znakomicie odtworzył jedną z naczelnych postaci sztuki. Węgrzyn święcił istny tryumf, Gawlikowski i Łuszczewski doskonali.

Reżyserja dyr. Chaberskiego umiejętna, wnikliwa, wycyzelowana z subtelną dokładnością Celliniego. Wnętrza Frycza przepiękne.

Oto przedstawienie, które każdy, kto interesuje się sztuką, literaturą i teatrem, musi widzieć i pilnie rozważyć.

Gord.

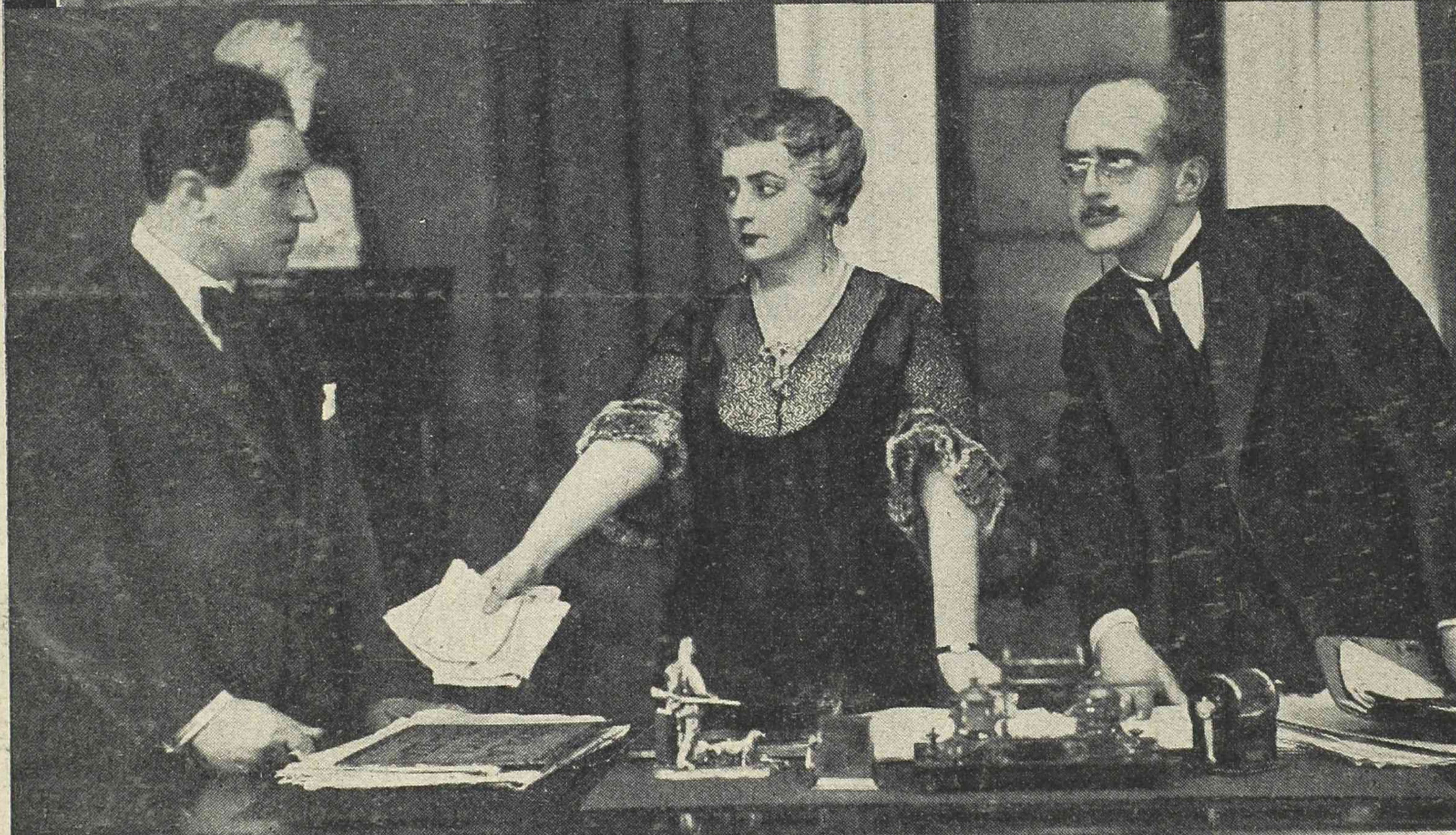
*

W Teatrach Miejskich praca rozwija się składnie i *accelerato*. Teatr Narodowy przystąpił do prób z „Don Karlosa". Szyllerowskie arcydzieło, w przepięknem nowem tłomaczeniu Iłłakowiczówny, będzie najbliższą premjerą pierwszej sceny polskiej. Po „Don Karlosie" wielka sensacja: „Pole Marsowe", sztuka Benita Mussoliniego i Forzana. Dyktator faszystowski w roli autora dramatycznego! W Teatrze Letnim próby z „Cichego wspólnika" Winc. Rapackiego w pełnym toku. W głównych rolach Ćwiklińska, Fertner, Jerzy Leszczyński. *Excusez du peu!* Teatr Nowy szykuje kapitalny dramat Sommerset Maugham'a „Święty płomień".

Teatr Narodowy: „Fortepian“, komedja w 3-ch akt. Jerzego Szaniawskiego

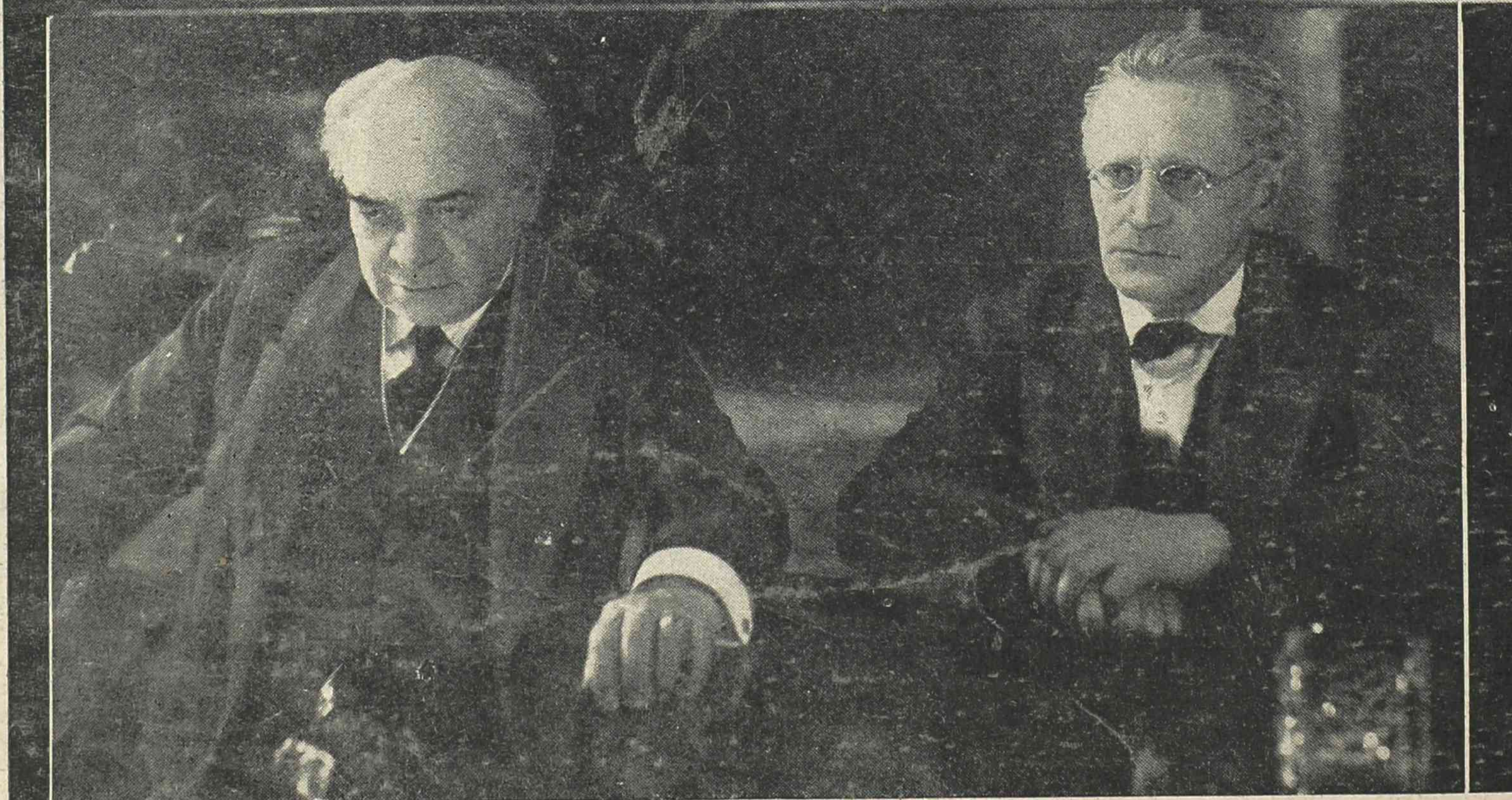


SILNY W NAPIĘCIU FINAŁ AKTU III-GO. „JANOWICKI GRA SONATĘ WALEWIAKA“



ŚWIETNA OBSADA AKTU II-GO: BRYDZIŃSKI (WALEWIAK), M. DULĘBA (PANI BALT), J. WĘGRZYN (TIL): ZA PIENIĄDZE ZDOBYTE NA KACZYM TARGU NAPRAWI SIĘ DACH NA STARYM DOMU BALTÓW

Fot. J. Malarski



J. CHMIELIŃSKI, JAKO STARY BALT, GAWLIKOWSKI, JAKO PROFESOR:—DAJ PARĘ ZŁOTYCH NA WÓDKĘ!

Teatr Nowości: „Czar Walca" **...A Banda się śmieje...**



TOLA MANKIEWICZÓWNA Fot. St. Brzozowski



ŚWIETNI WYKONAWCY: MIRA ZIMIŃSKA I IGO SYM

REWJA TEATRÓW REWJOWYCH W STOLICY

Teatry rewjowe warszawskie, usiłując przystosować się do zmienionych gustów publiczności, rugują ze swoich programów „conferencierkę", która z powodu wyczerpania dowcipów i pomysłów w tym zakresie stanowiła nieznośną t. zw. „piłę".

Nawet „Banda", która ma najlepszego w Polsce „conferenciera" Jarossyego, umiejącego swoje przysłowiowe „Dzień dobry państwu" wypowiadać ze specjalnym wdziękiem — ogranicza rozmowę pomiędzy numerami do minimum.

Za nowy pomysł „conferiencierski" należy uważać wprowadzenie w programie „Banda się śmieje" filmu dźwiękowego z p. Jarossym, przyczem Jarossy na scenie kłóci się z Jarossym na ekranie.

Numer nieco autoreklamowy, ale bodaj że jeden z najlepszych w programie, którego „asami" są Mira Zimińska i Igo Sym.

Zimińska — przepyszna w grotesce wysokiej klasy artystycznej. Igo Sym pokazywany jest przedewszystkiem „a titre de curiosité" dla szerokich rzesz kinomanek.

Gwiazdor śpiewa sympatycznie swoim niewielkim głosem piosenkę, a w skeczu „Porządeczek" zdradza zacięcie sceniczne — pomimo widocznego braku rutyny teatralnej. Pozatem jest bardzo urodziwy, ma słynnie niebieskie oczy i czarujący uśmiech.

Orwid zawiódł jako aktor rewjowy. Doskonały jest Lawiński jako niefortunny przymusowy brydżysta.

Panie Godelska i Konelska bardzo słabe w dowcipnym skeczu „Altruistki". Terne czaruje swoim słowiczym głosikiem.

Sensacją rewji „Tęcza nad Warszawą" w „Morskiem Oku" jest występ Lody Halamy.

Studja u Mary Wigman wzbogaciły znacznie skalę możliwości artystycznych tej niezwykle utalentowanej tancerki, to też numery Halamy są najlepszemi punktami programu.

Wogóle strona choreograficzna opracowana bardzo starannie przez baletmistrza Nellego.

Stanisław Gruszczyński wzorem swego kolegi Dygasa postanowił sięgnąć po laury rewjowe. Głos brzmiał pięknie, ale w ramy rewji śpiewak operowy nie został należycie wmontowany.

Ola Oborska, kulturalna i urodziwa pieśniarka, zapowiada się jako nowa obiecująca siła rewjowa.

Elna Gistedt, Tatrzański i Ruszkowski, przeszczepieni z operetki do rewji, jeszcze się niezupełnie przyjęli na nowym gruncie.

„Wesołe Oko" wystąpiło z rewją „Rok 1932", która jest stanowczo najlepszą w dotychczasowym dorobku tego teatrzyku.

Półfinał „Karnawał" pomyślany doskonale i wykonany z werwą, wprowadza na widownię nastrój „szampańskiego" rozbawienia. „Kankan" doskonały.

„Nowy grajek" i „Ja mam stosunki" wysuwają się na czoło programu dzięki naprawdę pierwszorzędnemu wykonaniu aktorskiemu przez Tadeusza Olszę.

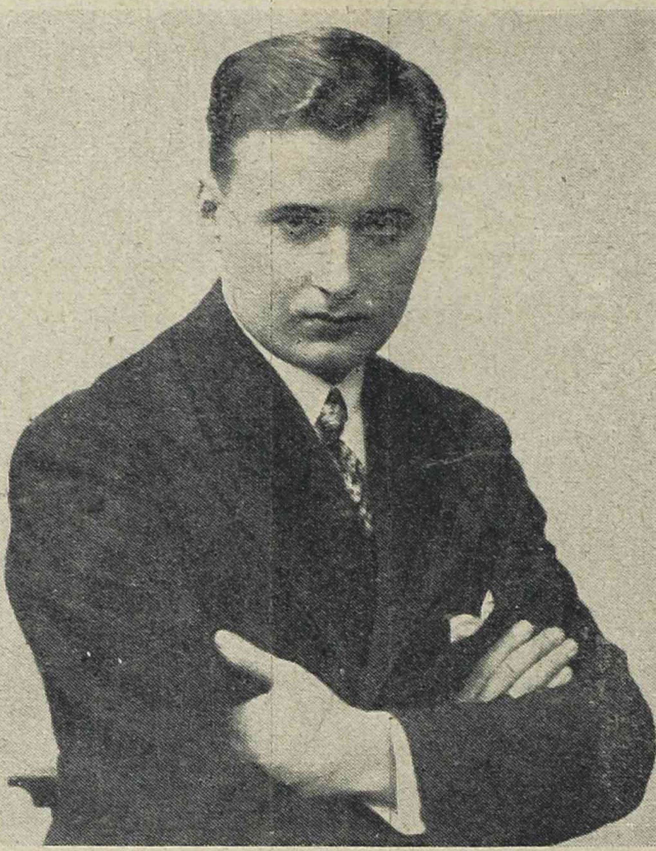
Żelichowska, Niemirzanka, Bukojemska, Gabrielli, Walter, Klimaszewski, Rentgen, Sieloński, Neyowie znajdują w tym programie wdzięczne pole do popisu.

Roma.

Rozstrzygnięcie konkursu muzycznego im. Kronenberga, ogłoszonego przez Filharmonję Warszawską



Witold Maliszewski, znany kompozytor, twórca wielu dzieł polifonicznych, zdobył pierwszą nagrodę za utwór orkiestrowy pt. „Bajka". Muzyk ten zwraca powszechną uwagę swoją poważną i płodną działalnością artystyczną.



Bolesław Woytowicz, pianista i kompozytor, znany Warszawie z estrady, obecnie przebywający w Paryżu, którego dzieło p. t. „Koncert na fortepian i wielką orkiestrę" uzyskało w dn. 9 I.1932 roku II-gą nagrodę na konkursie im. bar. Kronenberga.

Wyjazd naszych narciarzy na olimpjadę



W dniu 11 stycznia odjechała z Warszawy polska narciarska ekspedycja na Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Lace Placid (St. Zjednoczone). Opinja znawców narciarstwa spodziewa się zdobycia najlepszych miejsc po bezkonkurencyjnych Skandynawach, gdyż drużyna jest doskonale przygotowana technicznie i znajduje się we wspaniałej formie fizycznej. Olimpijczycy nasi w czasie treningu konsumowali dużo cukru, bowiem opinja narciarska stwierdza jego wielkie walory odżywcze. Asy reprezentacji Br. Czech i bracia Marusarze zgodnie twierdzą iż „nie mogą sobie wyobrazić zawodów narciarskich bez śniegu i cukru".

Ś. p. Władysław Prüffer

Ś. p. WŁADYSŁAW PRÜFFER zmarł w Podlesiu, ziemi lubelskiej, 13 grudnia ub. r., jako emeryt Ordynacji Zamoyskiej, po blisko 40 latach owocnej i pożytecznej pracy w tej instytucji.

Zmarły ukończył Wydział Leśny w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach w czasach największego rozwoju tej uczelni. Następnie poświęcił się pracy zawodowej w lasach państwowych, kiedy Zarząd tych lasów zachował jeszcze organizację z czasów b. Komisji Przychodów i Skarbu. Po zreformowaniu organizacji Zarządu i zrusyfikowaniu tej instytucji w latach 1880-ych, wraz z wielu współkolegami Polakami opuścił to stanowisko i przeszedł do Zarządu Ordynacji Zamoyskiej w Zwierzyńcu n/W, gdzie stanął wkrótce na czele prac pierwszego urządzenia prawidłowych gospodarstw leśnych w olbrzymich, bo 150 000 hektarów obejmujących, lasach Ordynacji Zamoyskiej.



Ś. P. WŁADYSŁAW PRÜFFER

Następnie stanął na kierowniczem stanowisku jako Naczelnik Wydziału Lasów Ordynacji Zamoyskiej, pracując owocnie wspólnie z ówczesnym Jeneralnym Pełnomocnikiem Ordynacji Zamoyskiej, ś. p. Karolem Czarnowskim, znanym ze swych wysokich zalet i zasług.

Ś. p. Władysław Prüffer poza gorliwą pracą zawodową, jako jednostka o wysokim poziomie kultury duchowej, brał czynny udział w życiu społecznem, koleżeńskiem i towarzyskiem pracując w organizacjach oświatowych i kulturalnych.

W szerokiem kole, w którem się obracał, wszędzie cieszył się uznaniem, przyjaźnią i sympatją.

W 1926 r. po znojach pracy zawodowej usunął się na zasłużony spoczynek na maleńkim skrawku własnej ziemi w Podlesiu. I na tym skrawku praca jego nie pozbawiona była znaczenia społecznego, sąsiadom włościanom świecił przykładem, służył radą zawodową i pomocą w ich poczynaniach kulturalnych.

Spoczął na cmentarzu w ukochanym przez siebie Zwierzyńcu, w którym blisko 40 lat życia przepędził, pozostawiając po sobie na długie lata pamięć zacnego obywatela i jednostki zasłużonej.

CO CZYTAĆ?

„NOWA KOLCHIDA", „LITERATURA POLSKA", „TOM VI DZIEŁ ST. WYSPIAŃSKIEGO", „WARSZAWA"

Zasłużony beletrysta Wacław Gąsiorowski wydał ciekawą, informacyjno-impresjonistyczną książkę pt. „Nowa Kolchida". Pracował on kulturalnie przez szereg lat w Stanach Zjednoczonych wśród naszego wychodźtwa, miał więc możność zapoznania się z amerykańskim życiem wszechstronnie. W impresjach autora „Huraganu" przeważa optymizm. Wacław Gąsiorowski spodziewa się po Stanach Zjednoczonych rewelacji duchowych. Pisze przecież:

„I jako dzisiaj z amerykańskiej energji, z amerykańskiej wytrwałości, z amerykańskich systemów i metod powielania wartości, ułatwiania życia płynie tysiące wskazań dla opieszałych a bezradnych — tak jutro wyrośnie w Nowej Kolchidzie złote runo myśli wszechludzkich, wytrysną kastalskie krynice rozkwitu umysłowego".

Rdzenni pisarze amerykańscy nie tak wysoko szacują swoje społeczeństwo. Odnoszą się do niego krytycznie a często z dużą dozą sarkazmu. Wacław Gąsiorowski dostrzega wiele cieni na życiu amerykańskiem. Daje wyraz swoim wątpliwościom w licznie cytowanych faktach bezprawia, gwałtu, łapownictwa. O, bo amerykanie lubią „graft"! Nawet w stosunkach kościelnych panują tu obyczaje ciężkie, często gorszące. Skąd więc wzięła się w dygresjach autora „Nowej Kolchidy" nuta optymizmu?

Kto chce odpowiedzieć sobie na to pytanie — niech przeczyta książkę W. Gąsiorowskiego. Czyta się zajmująco, łatwo; pozostawia dobre wrażenia oraz instrukcje, mogące się przydać w życiu.

Podręczniki literatury polskiej pisane były i komponowane w warunkach politycznych smętnych dla naszego narodu. Autorzy, biorąc pod uwagę stan faktyczny, przesuwali punkt ciężkości na utwory, wieszczące zagładę państwa, piętnujące rozkład społeczeństwa. Literatura nasza w ten sposób ujęta poniżała często dzieła o wartości wyłącznie artystycznej, spychała na plan dalszy autorów, nie wyróżniających się uspołecznieniem. Prof. Juljusz Kleiner, zaszczytnie znany monografista Słowackiego i Krasińskiego, napisał nowy podręcznik literatury polskiej p. t. „Zarys dziejów literatury polskiej". Ukazał się tom pierwszy, zawierający syntetyczny obraz rozwoju literatury „od początków piśmiennictwa do końca rządów Stanisława Augusta". Mamy więc w tej książce historję literatury Polski Niepodległej, Królewskiej. Cel swego zarysu prof. J. Kleiner zamknął w słowach:

„Chce (ten podręcznik) uwydatnić odrębność duchową narodu i łączność jego z Europą całą. Chce pobudzić myśl do zajęcia się zagadnieniami różnorodnemi, ważnemi w chwili dzisiejszej tak samo, jak ważne były w przeszłości. W sposób jak najbardziej przystępny porusza obok problematów literackich sprawy religijne, polityczne, społeczne, gospodarcze, uwzględnia filozofję i rozwój sztuki, ale tak, by wszystko zespoliło się w tok jednolitej opowieści o kulturze narodowej, ukazanej w szeregu dzieł literackich i o ludziach ciekawych.

Podręcznik prof. Juljusza Kleinera przeznaczony jest w pierwszym rzędzie dla szkół średnich. Warto jednak zapoznać się z nim. Daje on w wielu wypadkach inne naświetlenie autorów oraz dzieł, zmienia hierarchję wartości.

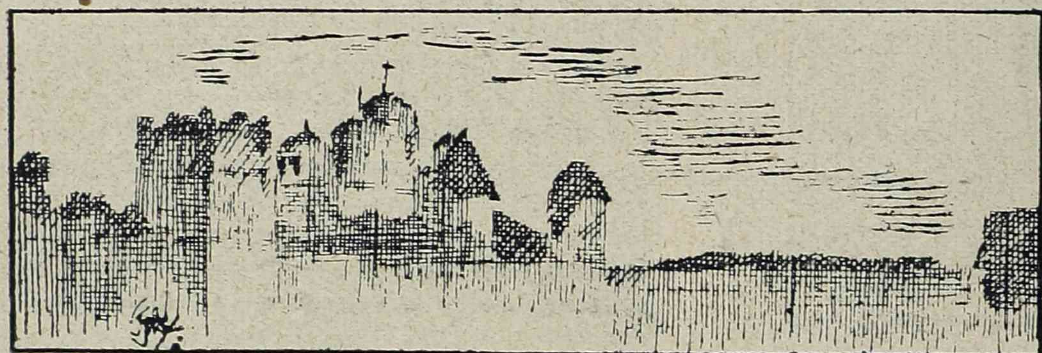
Ukazał się tom VI wydania zbiorowego „Dzieł Stanisława Wyspiańskiego". Instytut „Bibljoteka Polska" nie przerywa więc swojej pracy mimo kryzysu. Wydawnictwo dzieł St. Wyspiańskiego należy do luksusu, jak na obecne czasy. Tom szósty otrzymaliśmy w redakcji prof. Leona Płoszewskiego. Skomponowany został z fragmentów dramatycznych. Pochodzą one przeważnie ze spuścizny rękopiśmiennej. Przeciętnemu czytelnikowi niewiele przynoszą nowego, nie rozszerzają zakresu wrażeń artystycznych. Tylko przez pietyzm dla wielkiego nazwiska poety czytać się będzie te szkice, próby, notaty artystyczne. Badacze literatury znajdą natomiast dla siebie materjał analityczny pierwszorzędny. Jako przyczynek do psychologji twórczości ten zbiór fragmentów dramatycznych St. Wyspiańskiego może posłużyć do ciekawych badań wszelkiego typu. Rzeczowe, sumienne przypisy, informacje prof. L. Płoszewskiego winny tę pracę ułatwić i uprzyjemnić.

O „Warszawie" Stefana Godlewskiego należałoby może obszerniej napisać. Jako temat bliski mi uczuciowo i artystycznie, „Warszawa" wywołuje we mnie całe sploty wzruszeń. „Grabinką" Stefana Godlewskiego zachwycaliśmy się, gdy ukazała się poraz pierwszy w tomie pod identyczną nazwą. Teraz mamy cztery utwory pod wspólnym tytułem „Wokulski" oraz „Pronobis" i „Warszowa"; nie mogą one nie zaciekawić każdego rodowitego warszawianina. Szczególnie ten Wokulski! Pozostawił go nam Prus do kontemplacji, a Godlewski czyni z niego powiernika swoich uczuć. Warto jest zapoznać się z tą Warszawą, widzianą przez rozkochane oczy Godlewskiego. E. C.



№ 3 (106) ZADANIE HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNE

(Za rozwiązanie 6 punktów).



Na podstawie podanych poniżej określeń należy rozpoznać sześć miast polskich.

I.

Miasto nad Strawą, 144 klm. od Warszawy, założone za Bolesława Krzywoustego przez Piotra Dunina. Częściowo zachowany zamek Kazimierza Wielkiego. Okazały kościół farny, w którego murach odbyło się kilkanaście synodów prowincji gnieźnieńskiej. Ośrodek przemysłowy: przędzalnie, tkalnie, fabryki maszyn rolniczych, huty szklane.

II.

Starożytna osada mazowiecka nad Wisłą, wsławiona zawarciem kilku traktatów, oraz głośną rozprawą teologiczną „Colloquim Charitativum" między katolikami a dysydentami w 1645 r. Pięknie zabudowane miasto z resztkami zamku i murów miejskich.

III.

Miasto nad rzeką Mleczną, 167 klm. od Warszawy. Stary gród, tutaj na Sejmie w zamku, wybudowanym przez Kazimierza Wielkiego, wybrano na królową polską Jadwigę. Znaczny ośrodek przemysłowy (wiele garbarni) i handlowy.

IV.

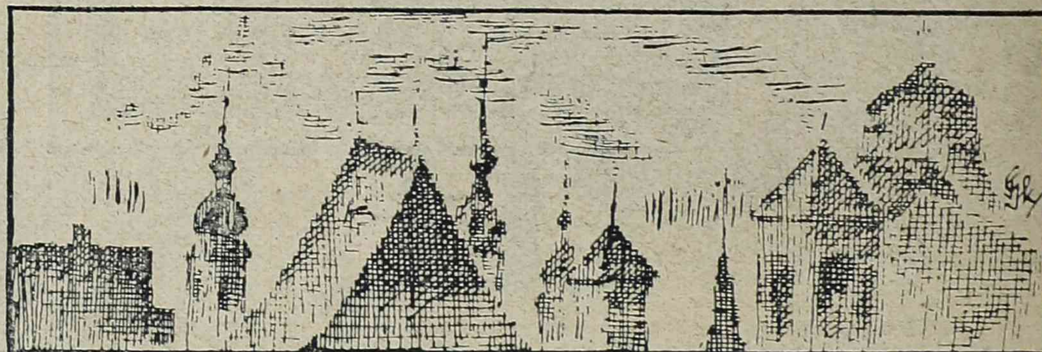
Miasto nad Wartą, 231 klm. od Warszawy. Początki sięgają starożytności. Pierwsze wzmianki z końca XIV w. Klasztor, fundowany przez Władysława IV-go. Liczne fabryki wyrobów włókienniczych, bawełnianych, jutowych, metalowych, garbarnie, huty szklane.

V.

Miasto nad dopływem Prypeci, 430 klm. od Warszawy. W 1429 r. odbył się tu pamiętny zjazd książąt, na którym Witold zamierzał ogłosić się królem litewskim i oderwać od Polski.

VI.

Jedno z najpiękniejszych miast Mazowsza, nad wysokim brzegiem Wisły położone. Początkami sięga wprowadzenia chrześcjaństwa, tu — według podań — Mieczysław I wybudował jeden z dziewięciu kościołów. Stolica djecezji, piękna katedra z XII wieku.



ROZWIĄZANIE ZADAŃ z №№ 46, 48, 49, 50

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Bahr Adam (18), Berkmanowa Wacława (18), Boguszewska Irena (22), Bojarski Tadeusz (19), Charytonowicz Anna (19), Felsenhardtówna Helena (6), Gogut Kazimiera (13), Herbstmanówna Dorota (29), Jarkowska Aurelja (18), inż. Kamiński Władysław (11), Kicińska Stefanja (19), por. Kreyscz Edward (4), Krzyżanowski Stanisław (14), „Peka" (16), Prawdzic Michał (14), Roykiewicz Wacław (27), Rozentalówna Anna (5), Sławnicki Michał (18), Sowiński Mirosław (19), Sułkowska Leontyna (23), Tietz Zygmunt (29), Tornacki Al. (4), Wiśniewska Teofila (19), Witkowska Maryla (4), Zagajewski Adam (14), Zborowska Teresa (17), Żukowska Irena (11) — *z Warszawy, oraz*

pp. Adamska Marja (5) — z Tomaszowa Mazowieckiego, „Annabel" (11) — z Baranowicz, Bielski Jan (5) — z Trzeszczan, Borowicki Tadeusz (29) — z Siedlec, Brzeska Marja (5) — z Radości, Bugajska Marja (31) — z Kłobucka, Dorszewski Rudolf (5) — ze Świecia, Fijałkowski Kazimierz (7) — ze Zgierza, Gierzyńska Jadwiga (4) — ze Szwejk, Głaziński Aleksander (14) — z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef (19) — z Brześcia n/B, Iwańczykowa Marja (20) — z maj. Siernicze, Janicka Zofja (6) — z Grudziądza, Jaśnicki Wacław (16) — z Horochowa, Jaworska Helena (6) — z Chełmna, Jarkiewicz Eugenjusz (15) — z Wilna, Kamiński Władysław (22) — z Sulejówka, Kmiotkówna Zofja (6) — z Baranowicz, Kleczkowski M. M. (18) — z Sulejówka, Kmiotkówna Zofja (4) — z Zakopanego, Kolisko Mieczysław (9) — z Brześcia n/B, Kotowska Emilja (16) — z Poznania, Kowalska Marja (4) — z Włodzimierza, kpt. Krasiński Józef (6) — z Krakowa, Krauze Józef (34) — z Żyrardowa, Krupińska Aniela (6) — z Łodzi, Kwiekowa Jadwiga (17) — z Dobrzelina, Lemański Zygmunt (12) — z Wilna, Libicki Włodzimierz (7) — z Łowicza, Łukasiewicz Michał (20) — z Białegostoku, Makiewski Ignacy (14) — z Grodna, Malinowski Stefan (22) — ze Lwowa, inż. Modrzejewski Józef (35) — z Lublina, Mokrzycka Helena (28) — z Drohobycza, Moszczyński Edward (34) — z Szamotuł, Petrych Jan (29) — z Wronek, Pieracki Zygmunt (9) — z Wilna, Radomski Michał (6) — z Łodzi, Rakowiecka Helena (15) — z Lublina, Rogalski Kazimierz (7) —z Łodzi, Rutkowska Maryla (7)—z Wilanowa, Rzewicka Irena (25) — z Będzina, Sarnecki Józef (23) — z Katowic, Sawicka Karolina (3) — z Białegostoku, Skupińska Marta (14) — z Zamościa, Sobocki Baltazar (26) — z Liskowa Kaliskiego, Sokulski Władysław (27) — z Katowic, Stasiewicz Czesław (19) — z Równego, Sułocka Janina (27) — ze Zgierza, Syryczyńska Barbara (8) — z Rożdzienia, Szcześnicka Lucyna (7) — z maj. Konstantynów, Telżyńska Weronika (5) — z Chełma, Tobias Henryk (18) — z Kielc, Tyblewski Wacław (33) — z Poznania, Węgierski Tadeusz (22) — z Miłosnej, Wilczyński Adam (12) — z Krosna, Wójcik Tadeusz (18) — z Wieliczki, Zawadzka Anna (24) — z Ciechanowa, Zakrzewski Leon (17) — z Radomia, Zaleski Czesław (14) — z Kalisza, Żuliński Jan (21) — z Lublina, Życzyński Bohdan (16) — z Nowogródka.

NAGRODY otrzymują następujący Czytelnicy:

z № 46-go: p. *Helena Jaworska* z Chełma, p. *Tadeusz Wójcik* z Wieliczki,
z № 48-go: p. inż. *Józef Modrzejewski* z Lublina,
z № 49-go: p. *Aleksander Głaziński* z Mińska Mazowieckiego, p. *Józef Sarnecki* z Katowic,
z № 50-go: p. *Emilja Kotowska* z Poznania.



Z SALI KONCERTOWEJ

Świetna klawesynistka Margerita Trombini-Kazuro, koncertująca często na estradach warszawskich, jak również w Polskiem Radjo (ostatnio recital 20 b. m.), wraz ze swym klawesynem. Instrument ten, prawie nieznany w Polsce, jest poprzednikiem fortepianu, różni się jednak od niego sposobem wydobywania dźwięku: podczas gdy w fortepianie dźwięk powstaje wskutek uderzenia młotka o strunę, to w klawesynie młotki zastępują t. zw. skoczki, które za naciśnięciem klawisza szarpią strunę, powodując specyficzne brzmienie. Trudność gry na tym instrumencie polega głównie na operowaniu dwiema klawiaturami oraz licznemi pedałami (w liczbie siedmiu), umożliwiającemi mnóstwo kombinacyj dźwiękowych. Rozkwit klawesynu przypada na wiek XVII—XVIII, a największymi jego mistrzami byli Couperin, Rameau, J. S. Bach, Haendel, Scarlatti i t. d.

WYWCZASY NASZYCH ARTYSTÓW W ZAKOPANEM



JAN KIEPURA, ZNAKOMITY TENOR, NA ODPOCZYNKU W ZAKOPANEM PO SUKCESACH W OPERZE CHICAGOSKIEJ



ARTUR RUBINSTEJN, ŚWIETNY PIANISTA, PRZYGOTOWUJE SIĘ DO NOWYCH PODBOJÓW KONCERTOWYCH W AMERYCE

Zjazd Rabinów w Warszawie



W GMINIE ŻYDOWSKIEJ PRZY UL. GRZYBOWSKIEJ 26 W WARSZAWIE OBRADOWAŁ WSZECHPOLSKI ZJAZD RABINÓW PRZY UDZIALE 450 RABINÓW Z CAŁEJ POLSKI. ZDJĘCIE PRZEDSTAWIA OBRADY ZJAZDU

„TO I OWO"

JUBILEUSZ ORGANIZACJI ZŁODZIEJSKIEJ.

Związek złodziejów niemieckich, którego centrala pod nazwą „Immertreu" istnieje w Berlinie, a liczne oddziały na terenie całego państwa, obchodził niedawno dziesięciolecie swego istnienia. „Immertreu" jest sui generis parlamentem niemieckiego świata przestępczego. Członkowie tej prześwietnej organizacji są doskonale znani centralom śledczym niemieckiej i zagranicznym, a fotografje wielu z nich zdobią albumy policyjne wielu stolic.

Według uprawianych zawodów, członkowie „Immertreu" dzielą się na sekcje: włamywaczy, kieszonkowców, fałszerzy, właścicieli spelunek, paserów, handlarzy narkotyków itp. Niema wśród nich jedynie przestępców, obciążonych morderstwami, czyli t. zw. w żargonie złodziejskim „mokrą robotą".

„Immertreu" jest organizacją przedewszystkiem samopomocową: w wypadku zaaresztowania członka dostarcza mu adwokata, świadków ustalających „alibi", odpowiednich funduszów, niejednokrotnie wpływa na bieg śledztwa, terroryzując świadków oskarżenia lub czyniąc próby przekupienia organów sprawiedliwości. Członków obowiązuje bezwzględna karność organizacyjna i przestrzeganie tajemnicy zawodowej.

Obchód dziesięciolecia „Immertreu" urządzony został w jednej z wielkich restauracji berlińskich. Wzięło w nim udział około trzech tysięcy stowarzyszonych, którzy zjechali ze wszystkich stron Rzeszy, oraz szereg adwokatów i dziennikarzy.

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—
„ II „ 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—, ⅛ 75.—
„ III „ 450.—, ½ 225.—, ¼ 112.50
„ IV „ 600.—, ½ 300.—
Za tekstem . . . . . Zł. 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60 Tel. 210-00.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., kwart. 18.— zł, półr. 34.— zł., rocznie 68 zł., z odnoszeniem do domu mies. 6.50 zł., kwart. 19.50 zł., półr. 37.— zł, rocznie 74.— zł., na prowincji mies. 7.— zł., kwart. 21.— zł. półr. 40.— zł., rocznie 80.— zł. Zagranicą mies. 9 zł. kwart. 27.— zł., półr. 52.— zł., rocznie 104.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Tel. Administracji 504 00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

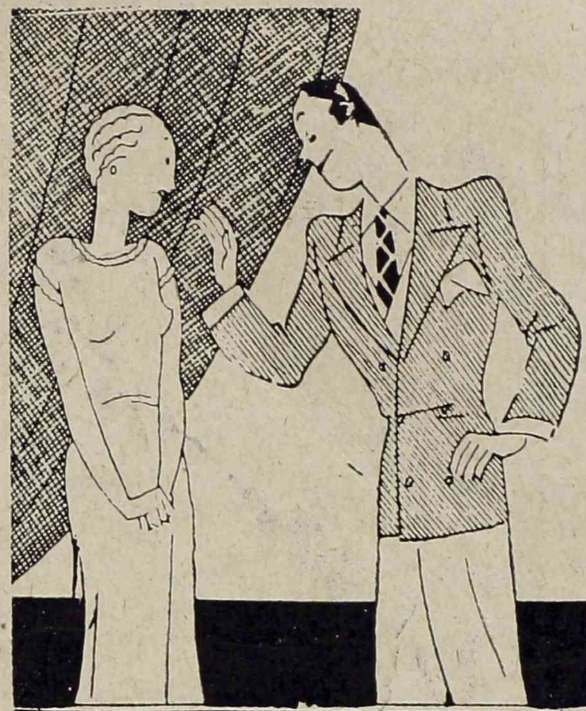
CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł. 40 gr.

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa

HUMOR ZAGRANICZNY



Na przyjęciu u ministra, gdy otwarto drzwi do bufetu.
ONA — Pan byłby gotów poświęcić dla mnie życie?
ON — W każdej chwili!
ONA — To niech pan zdobędzie dla mnie kawałek zimnego mięsa!



— Najdroższa, będę cię kochał zawsze, wiecznie, bez przerwy, nieskończenie...

— Dobrze, ale jak długo?

HUMOR

W towarzystwie.

— Byliście państwo podobno na ostatnim koncercie symfonicznym. Ciekawam, co słyszeliście nowego?

— Och, wiele nowego! Kalbesel zbankrutował. Cwibak dostał się pod dozór sądowy. Kapelusznik ma wyznaczoną licytację.

— Phi, to nic nowego...

— Ach, zapomniałam jeszcze sensację: Róża urodziła bliźniaczki.

*

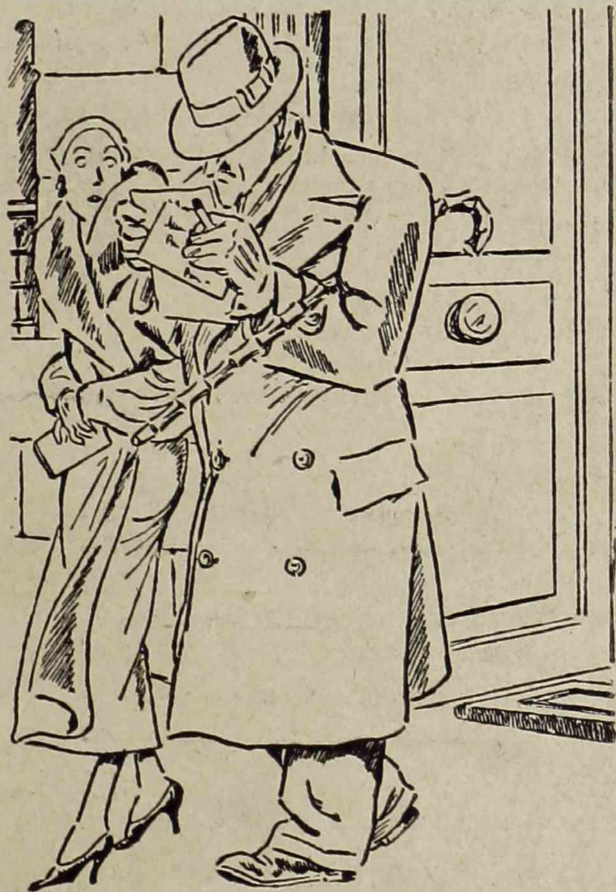
Przy czarnej kawie małżonka bankiera F. marzy:

— Piękna jest willa w Konstancinie. I niedroga. A co najważniejsze, że widok z niej jest wspaniały.

— Tak ci się podoba?

— Wiesz, z wrażenia prawie oniemiałam...

— No, to ja ci willę kupię! — oświadcza bankier.

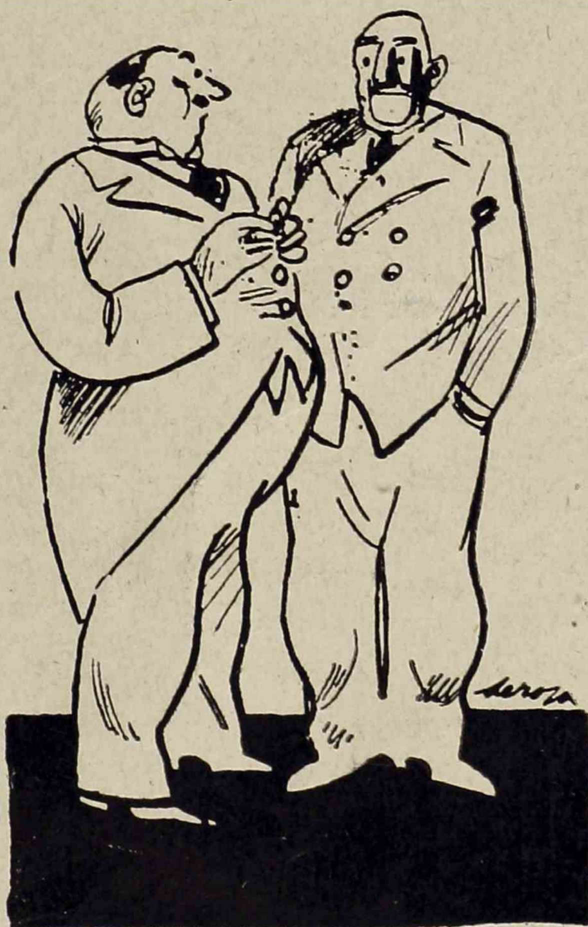


— To list od wuja z Ameryki.

— A! I cóż on pisze?

— Prosi o przysłanie mu tysiąca złotych

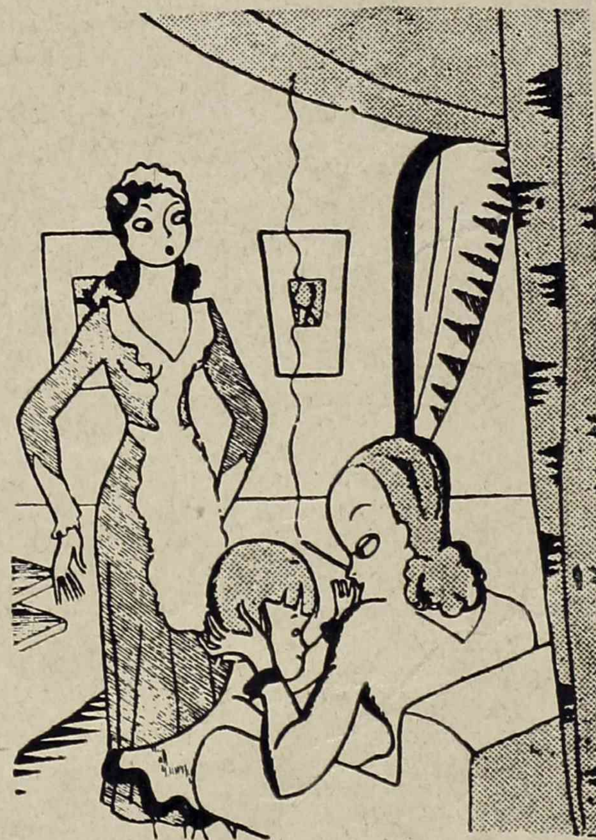
(Le Rire)



— Woda zabiła znacznie więcej ludzi, niż wino...

— Przesadzasz!

— A potop?



— Chciałam prosić dziś wieczorem o wychodnię... Przyjechała moja ciocia!

Grzeczny synek:

— Pozwól jej wyjść, mamo! Jej ciocia awansowała na kaprala!

(La Tribuna)



Znakomita artystka filmowa, piękna Miss Polonia, p. Zofja Batycka
zachwyca się płytami „ODEON"
PŁYTY „ODEON" są wyróżniane przez znawców.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa